

Knut Hamsun

MARZYCIELE



świat literacki

Knut Hamsun

MARZYCIELE

Przekład z norweskiego
Anna Marciniakówna



swiat literacki

Gospodyni z plebanii, Marie van Loos, stoi przy oknie w kuchni i patrzy daleko na drogę. Zna tych dwoje, tam przy płocie, to z całą pewnością telegrafista Rolandsen, jej narzeczony, i Olga, córka dzwonnika. Już drugi raz tej wiosny widzi ich razem. Cóż by to mogło oznaczać? Gdyby w tej chwili panna van Loos nie miała tylu spraw na głowie, poszłaby do nich tam, na tę drogę, i zażądała wyjaśnień.

Ale czyż ona ma czas?

W dużej plebanii trwała gorączkowa krzątanina, w każdej chwili spodziewano się przybycia nowego proboszcza z rodziną. Mały Ferdinand trzymał straż przy okienku na strychu, miał obserwować zatokę i meldować, gdy tylko łódź się ukaże, by był czas przygotować gorącą kawę dla przyjezdnych. Będą jej potrzebować, płyną bowiem aż z Rosengaard, miejsca postojów parowców, oddalonego stąd o całe dziesięć kilometrów.

Na polach leży jeszcze trochę śniegu i lodu, ale jest maj i dobra pogoda, w Nordlandii nastały długie, jasne dni. Sroki i wrony posunęły się już znacznie w budowie gniazd, na nagich pagórkach zazieleniła się trawa. I w ogrodzie wierzba zaczyna wypuszczać bazie, choć jeszcze stoi w śniegu.

Teraz wszyscy się zastanawiają, jakiego to pokroju człowiekiem jest ten nowy pastor. Cała parafia trwa w napięciu. Co prawda ma on tu pełnić jedynie rolę zastępcy, do czasu, gdy zostanie mianowany stały proboszcz, ale zastępcy mogą urzędować bardzo długo w takiej parafii, gdzie przeważa uboga ludność rybacka i gdzie w co czwartą niedzielę proboszcza czeka uciążliwa podróż do kościoła filialnego. To nie jest miejsce, o które księża ubiegaliby się jeden przez drugiego.

Rozeszły się pogłoski, że nowi pastorstwo to bogaci ludzie, którzy nie oglądają parokrotnie każdego szylinga, zanim go wydadzą. Już zawczasu zgodzili gospodynię i dwie służące, nie oszczędzali też na robotnikach dla folwarku i najęli dwóch parobków, do tego jeszcze mały Ferdinand, chłopak, który ma być zawsze pod ręką i biegać na posyłki. Na parafianach bardzo dobre wrażenie zrobiło to, że ich proboszcz jest człowiekiem tak dobrze sytuowanym. Może nie będzie zbyt drobiazgowy w ściąganiu ofiar i dziesięciny, a przeciwnie, wspomocze czasem jakiegoś biedaka. Oczekiwano go zatem z wielką niecierpliwością. Na spotkanie wyszli obaj pomocnicy pastora oraz rybacy, schodzili ku szopom na łodzie w swoich ciężkich buciorach, żuli tytoń, spluwali i gadali.

W końcu także olbrzym Rolandsen ruszył wolno drogą, zostawił Olgę, więc i panna van Loos opuściła swoje okno w kuchni. Wygarnie mu wszystko później. Nie tak rzadko, niestety, musiała się rozprawiać z Ove Rolandsenem. Była z pochodzenia Holenderką, mówiła dialektem bergeńskim i była do tego stopnia pyskata, że własny narzeczony wymyślił dla niej przezwisko: „dziewica – piekielnica”. W ogóle trzeba powiedzieć, że wielki Rolandsen był człowiekiem nader dowcipnym i łatwo nie ustępował.

Dokąd to zamierza się teraz udać? Czyżby naprawdę powziął ten dziwny zamiar powitania rodziny pastora? Nie był chyba dziś bardziej trzeźwy niż zazwyczaj, szedł z gałązką pączkującej wierzby w butonierce, w kapeluszu trochę na bakier, tak właśnie chciał się pokazać! Pomocnicy, oczekujący przy szopach, woleliby, oczywiście, żeby tu w ogóle nie przychodził w takiej chwili, w takiej ważnej chwili.

Czy to wypada wyglądać tak jak on? Już sam jego nos jest zbyt wielki jak na tak mało znaczący urząd, jaki mu przypadł, a do tego jeszcze przez całą zimę nie strzygł włosów, przez co czupryna nabierała coraz bardziej artystycznego charakteru. Narzeczona, chcąc się za coś zemścić, powiedziała mu, że wygląda niczym malarz, który skończył jako fotograf. Rolandsen miał teraz trzydzieści cztery lata, żył jak student lub stary kawaler; grał na gitarze i śpiewał głębokim

głosem ludowe pieśni, a w momentach bardziej wzruszających zaśmiewał się tak, że łzy spływały mu po twarzy. Tak, potrafił być naprawdę wspaniały! Pełnił urząd naczelnika stacji telegrafu i zajmował to miejsce już od dziesięciu lat. Rolandsen był wysoki i silnej budowy, nie stronił od bójki, jeśli nadarzała się po temu okazja.

Nagle mały Ferdinand podskakuje. Ze swego miejsca przy oknie w dachu dostrzega dziób białej łodzi kupca Macka wyłaniającej się zza przylądka, w następnym momencie trzema śmiałymi susami pokonuje schody i krzyczy w głąb kuchni:

– No, to są!

– O rany, już są! – wołają przerażone służące. Gospodyni jednak nie traci panowania, służyła tu już za poprzedniego plebana i wie, co trzeba robić w tym domu, ona, taka zdolna i praktyczna.

– Nastawić kawę! – mówi po prostu.

Mały Ferdinand biegnie tymczasem ze swoją nowiną do parobków. Rzucają wszystko, szybko wciągają świąteczne ubrania i spieszą co tchu na dół ku szopom, by pomóc, gdyby było trzeba. Jest więc ogółem dziesięciu mężczyzn, którzy przyszli witać przybyłych.

– Dzień dobry – mówi pastor stojący na rufie, uśmiecha się i zdejmuje swój miękki kapelusz. I wszyscy mężczyźni na brzegu z szacunkiem odkrywają głowy, a dwaj pomocnicy kłaniają się tak nisko, że długie włosy opadają im na oczy. Wielki Rolandsen jakoś mniej się tym wszystkim przejmuje, to stoi wyprostowany, to znowu pochyla się trochę, ale kapelusz opuszcza na czoło.

Pastor jest człowiekiem niestarym, ma rudawe bokobrody i wiosenne piegi, sumiaste blond wąsy zasłaniają mu dziurki od nosa. Żona, wyczerpana morską chorobą i zmęczona, leży w kajucie.

– Jesteśmy na miejscu – mówi pastor stając w drzwiach kajuty i pomaga żonie wyjść. Oboje mają na sobie dziwnie stare i grube ubrania, które robią nie najlepsze wrażenie. Jest to zapewne pożyczony gdzieś przyodziełek na podróż, natomiast kosztowniejsze rzeczy wiozą w walizkach. Kapelusz

pani pastorowej zsunął się na kark, a oczekującym mężczyznom ukazała się blada twarz o dużych oczach. Pomocnik Levion wchodzi do wody i wynosi pastorową na brzeg; pastor radzi sobie sam.

– Jestem Rolandsen, telegrafista – oznajmia wielki Rolandsen, stojący w pierwszym szeregu. Popił nieźle i wytrzeszcza oczy, ponieważ jednak jest człowiekiem z ogładą, nie traci pewności siebie. Ech, ten szalony Rolandsen, nikt nie widział, żeby popełnił jakąś gafę, jeśli chodzi o zachowanie w lepszym towarzystwie, zawsze mówi to, co w danej sytuacji należy.

– Jeśli wolno – ciągnął teraz, zwracając się do pastora – to przedstawiłbym panu nas wszystkich. Zdaje mi się, że ci dwaj, to pomocnicy pastora. Tamci zaś, to pańscy parobcy. A to jest Ferdinand.

I pastor, i jego żona witają wszystkich skinieniem głowy, dzień dobry, dzień dobry, wkrótce lepiej się ze sobą poznamy. Tak, tak, a teraz trzeba przenieść bagaże na ląd.

Ale pomocnik Levion spogląda w stronę kajuty, gotów ponownie wejść do wody.

– A dzieci nie ma? – pyta.

Nikt nic nie mówi, ale wszyscy spoglądają na pastora i jego małżonkę.

– Nie ma żadnych dzieci? – dopytuje się pomocnik.

– Nie – odpowiada dowódca kutra.

Twarz pani spąsowiała. Pastor rzekł:

– Tylko my dwoje... No, to przyjdźcie na górę po napiwek.

Oczywiste, że to bogaty człowiek. Człowiek, który nie odmawia biednemu jego zapłaty. Poprzedni pastor nigdy nie dawał napiwku. Mawiał tylko „no, to na razie”.

Ruszyli drogą w górę i Rolandsen pełnił rolę przewodnika. Szedł poboczem, w śniegu, żeby ustąpić miejsca innym. Miał na nogach lekkie buty, ale nic sobie z tego nie robił, rozpiął też marynarkę pod szyją, chociaż majowy wiatr był jeszcze chłodny.

– Aha, więc to kościół! – powiada pastor.

– Widać, że stary. Pewnie i pieca w nim nie ma? – pyta pani.

– Nie potrafię na to odpowiedzieć – odpowiada Rolandsen. – Ale nie przypuszczam.

Pastor zdziwił się. Więc to nie wiernego, który regularnie bywa w kościele, ma przed sobą, lecz przeciwnie, kogoś, komu raczej nie sprawia różnicy, czy to święto, czy dzień powszedni. I pastor stał się nieco bardziej powściągliwy wobec tego nieznanego mężczyzny.

Na schodach plebanii stoi gospodyni i Rolandsen znowu dokonuje prezentacji. Kiedy już to zrobił, kłania się i zamierza odejść.

– Zaczekaj chwilkę, Ove! – szepnęła panna von Loos. Rolandsen jednak nie czekał, ponownie się uklonił i jął tyłem schodzić ze schodów.

Pastor uznał, że musi to być bardzo dziwny człowiek.

Tymczasem pani pastorowa znalazła się w salonie. Doszła do siebie po morskiej chorobie i zaczęła oglądać pokoje. Prosiła, by najjaśniejszy i najładniejszy przeznaczyć na gabinet pastora, a następnie zajęła dla siebie izbę, w której dotychczas mieszkała panna van Loos.

II

Nie, Rolandsen nie czekał, znał pannę van Loos i wiedział, na co się zanosi. A niechętnie robił coś, na co sam nie miał ochoty.

Na drodze, dość już daleko od plebanii, spotkał pewnego rybaka, który spóźnił się na powitanie pastora. Był to Enok, człowiek bystrego rozumu i łagodny, który zawsze chodził ze wzrokiem utkwionym pod nogi, a na głowie, z powodu choroby uszu, nosił chustkę.

– Spóźniłeś się – powiedział Rolandsen, mijając go.

– Już przyjechał?

– Przyjechał. Uścisnąłem mu rękę – krzyknął Rolandsen przez ramię. – I wiesz, co ci powiem, Enok? Otóż zazdrozczę mu jego żony!

Te nieostrożne i lekkomyślne słowa zostały skierowane pod właściwy adres. Enok na pewno rozniesie je dalej.

Rolandsen szedł skrajem lasu, aż dotarł do rzeki. Znajdowała się tutaj należąca do kupca Macka fabryka rybiego kleju. Pracowało w niej kilka dziewcząt i Rolandsen żartował z nimi zawsze, kiedy tędy przechodził. A co do żartów, to nikt mu nie dorówna, to trzeba przyznać. Poza tym dzisiaj był w świetnym humorze, zatrzymał się więc dłużej niż zwykle. Dziewczęta oczywiście od razu poznały, że ma nieźle w czubie.

– No, Ragna, jak myślisz, dlaczego ja właściwie przychodzę tutaj tak często? – zagadnął Rolandsen.

– A bo ja wiem? – odparła Ragna.

– Myślisz naturalnie, że ciągnie mnie tu stary Laban.

Dziewczyny zaczęły chichotać:

Rolandsen mówi Laban, kiedy ma na myśli Adama.

– Chcę cię ratować – oznajmił po chwili. – Musisz się mieć na baczności przed chłopakami od rybaków, których tu pełno, bo to prawdziwi uwodziciele.

– Nie ma większego uwodziciela niż pan – powiada inna z dziewczyn. – A ma pan przecież dwoje dzieci. Powinien się pan wstydzić.

– Czy to Nicolina tak mi przygaduje? Ty zawsze przyprawiałaś mnie o ból serca, do grobu mnie wpędzisz, Nicolino. Tak, dobrze o tym wiesz. Ale ciebie, Ragna, uratuję, żeby nie wiem co.

– Powinien pan iść do panny van Loos – mówi Ragna.

– Jak ty kompletnie nie masz o niczym pojęcia – oburza się Rolandsen. – Ile godzin, na przykład, gotujesz rybie łby, zanim zamkniesz wentyl?

– Dwie – odpowiada Ragna.

Rolandsen kiwa głową. On to przecież osobiście wynalazł i już dawno wyliczył. Uff, ten szalony Rolandsen, już on dobrze wie, dlaczego codziennie przychodzi do tej fabryki, dlaczego węszy i wypytuje dziewczyny.

– Nie podnoś wieka, Pernilla! – zawołał nagle. – Czyś ty zwariowała!

Pernilla zaczerwieniła się.

– Fredrik powiedział, że mam mieszać w kotle – odpowiada.

– Za każdym razem, gdy podnosisz wieko kotła, ulatnia się ciepło – tłumaczy Rolandsen.

Kiedy wkrótce potem zjawił się Fredrik Mack, syn kupca, Rolandsen powrócił do zwykłego żartobliwego tonu:

– Czyś to nie ty, Pernillo, służyła przez rok u lensmana? Byłaś wtedy taka cięta na chłopów i zła, że jedyne, czego nie podarłaś na kawałki, to puchowe pierzyny.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Pernilla to przecież najpotulniejsza istota na świecie. Poza tym słabego zdrowia, ale że jest córką kalikanta, pomocnika organisty, to i na nią spływa odrobina dostojeństwa.

Kiedy Rolandsen znalazł się znowu na drodze, ponownie zobaczył Olgę, córkę dzwonnika. Chodziła widocznie do sklepiku. Teraz biegła, ile sił w nogach, żeby uniknąć spotka-

nia z telegrafistą, bo spaliłaby się ze wstydu, gdyby Rolandsen mógł sobie pomyśleć, że na niego czekała. Jemu jednak nic takiego nie przychodziło do głowy, wiedział przecież, że gdyby właśnie teraz nie spotkał tej młodej dziewczyny twarzą w twarz, to umknęłaby i zniknęła mu z oczu. Rolandsen zresztą też za bardzo nie ubolewał, że nie doszedł z Olgą do porozumienia. W żadnym bowiem razie to nie ona zajmowała jego myśli.

Idzie do swego domu, na stację. Robi wyniosłą minę, żeby mu się nie naprzykrzał pomocnik, który na pewno chciałby z nim porozmawiać. W tych czasach Rolandsen nie jest zbyt miłym kolegą. Zamyka się w swojej, położonej w tylnej części domu, izdebce, do której nikt prócz niego i starej sprzątaczkii nie ma wstępu. Tu mieszka, i tu sypia.

Ten pokój to świat Rolandsena. Telegrafista bowiem jest nie tylko lekkoduchem i pijanicą, lecz także wielkim myślicielem i wynalazcą. Jego pokój wypełniają wonie kwasów, rozmaitych esencji i lekarstw. Zapachy przenoszą się do sieni i każdy kto tam wejdzie, musi zwrócić na nie uwagę. Rolandsen twierdził, że te wszystkie medykamenty trzyma tylko po to, by stłumić odór wódki, którą zwykł pijać nader często. Ale to nieprawda, Ove Rolandsen gadał tak wyłącznie po to, by prawdę ukryć.

Wszystkie te ciecze w szklanych pojemniczkach i kubkach potrzebne mu były do eksperymentów. Wynalazł on mianowicie drogą chemicznych doświadczeń nowy sposób produkowania rybiego kleju; jego metoda spełniała wszelkie warunki, by kompletnie unicestwić sposób stosowany przez kupca Macka. Mack urządził swoją fabrykę dużym nakładem kapitałów, transport jednak miał bardzo niedogodny, a pozyskiwanie surowca ograniczało się z konieczności wyłącznie do pory połowów. Poza tym kierowanie przedsiębiorstwem powierzył swemu synowi, Fredrikowi, który, niestety, fachowcem nie był. Rolandsen natomiast potrafiłby wytwarzać karuk z mnóstwa innych niż rybie łby rzeczy, on potrafiłby wytwarzać rybi klej ze wszystkich odpadów, które Mack wyrzucał na śmietnik. A z odpadów od tych odpadów potrafiłby jeszcze wyprodukować niezwykły barwnik.

Gdyby tylko telegrafista Rolandsen nie musiał się tak zmagać z ubóstwem i brakiem jakiegokolwiek pomocy, jego wynalazek byłby już dawno znany. Ale w takim miejscu nikt nie zdobędzie pieniędzy inaczej, jak tylko poprzez kupca Macka, do niego jednak Rolandsen z uzasadnionych powodów zwracać się nie chciał. Otóż pewnego dnia odważył się stwierdzić, że klej z fabryki nad wodospadem jest zbyt kosztowny. Mack wtedy machnął jedynie ręką, jak przystało na tak wielkiego i wspaniałego człowieka, i oznajmił, że fabryka jest kopalnią złota. Rolandsen aż się palił, by przedstawić rezultaty swoich przemyśleń. Wysyłał próbki wyrobów do chemików w kraju oraz za granicą, i nabrał pewności, że początek jest dobry. Dalej się jednak nie posunął. Wciąż jeszcze miał przed sobą najważniejsze: przedstawić światu czystą, połyskliwą ciecz i uzyskać patenty we wszystkich krajach.

Nie jest więc sprawą bez znaczenia, że telegrafista zjawił się dzisiaj na dole przy szopach, by powitać rodzinę pastora. Przebiegły Rolandsen miał w tym swoje wyrachowanie. Gdyby się mianowicie okazało, że pastor istotnie jest bogaty, to mógłby przecież wyłożyć trochę pieniędzy na ważny i mający widoki na powodzenie wynalazek. Skoro nikt inny nie chce, w takim razie ja to uczynię, powie z pewnością pastor. Taką przynajmniej Rolandsen żywił nadzieję.

Ach, Rolandsen, on tak łatwo nabierał nadziei, byle drobiazg rozniecał w nim płomień. Lecz i rozczarowania umiał znosić dzielnie, nikt nie mógłby zaprzeczyć, nieugięty i dumny, nie załamywał się nigdy. Nawet córka Macka, Elise, nie zdołała go załamać. Wysoka była i piękna, cerę miała śniadą, a usta czerwone, liczyła sobie dwadzieścia trzy lata. Gadano, że pewien kapitan żeglugi przybrzeżnej, Henriksen, jest jej potajemnym wielbicielem, lata jednak nadchodziły i mijały, ale nic się jakoś z tego nie wykluło. Co stało na przeszkodzie? Już przed trzema laty, kiedy Elise Mack ukończyła dopiero dwudziesty rok życia, Rolandsen wystawił się przed nią na pośmiewisko, rzucił jej do stóp swoje serce. Była tak uprzejma, że udała, iż go nie rozumie. Rolandsen powinien był wtedy przestać i wycofać się, on jed-

nak brnął dalej, a w ubiegłym roku zaczął całkiem otwarcie mówić o swoich zamiarach. Panna musiała się roześmiać w twarz zarozumiałemu telegrafiście i uświadomić mu, jak wielka dzieli ich różnica. Czyż ona nie jest tą damą, która nawet kapitanowi Henriksenowi każe latami czekać na krótkie tak? Doszło więc do tego, że Rolandsen dał za wygraną i zaręczył się z panną van Loos. Nie chciał okazać się mężczyzną, dla którego odmowa wysoko postawionej panny jest śmiertelnym ciosem.

Ale teraz znowu nadeszła wiosna. A dla jego wielkiego serca wiosna jest nie do zniesienia. Wiosna doprowadza wszelkie stworzenie do ostateczności, jej wonny powiew trafia nawet w najniewinniejsze nozdrza.

III

Od strony pełnego morza wpływają do fiordu pierwsze wiosenne śledzie. Ciągający niewody tkwią w swoich łodziach i całymi dniami za pomocą lunet wpatrują się w głębinę. Ryby można spodziewać się tam, gdzie ptaki krążą chmarami i raz po raz spadają błyskawicznie w toń, bo dostrzegły śledzia. Na głębokiej wodzie już można je łowić siecią; problem tylko, czy śledzie zechcą przejść na płytsze wody, do zatok i fiordów, gdzie można je zamknąć, odciąć im odwrót. Bo dopiero wtedy zacznie się ruch i bieganina, głośnie nawoływania, nadciągną zewsząd tłumy ludzi i nadpłyną handlowe łodzie. I pieniędzy będzie niczym piasku na morskim brzegu.

Rybak to gracz. Zarzuca swoje sieci lub rozciąga liny i czeka na szarpnięcie, albo zaciąga niewód i zdaje się na los. Często jedna strata goni drugą, bywa, że sieci rwą się i toną w czasie sztormu, on jednak uzupełnia wyposażenie i zarzuca znowu. Niekiedy pokonuje rozległe przestrzenie, by dotrzeć do miejsc, o których słyszał, że innym się tam poszczęściło, męczy się i wiosłuje tygodniami po nieprzyjaznych morskich szlakach i w końcu przybywa za późno: gra dobiegła końca. Od czasu do czasu jednak zdarzyć się może i tak, że wielki los znajduje się na jego drodze, czeka na niego, zatrzyma go i napelni łódź talarami. Nikt nie wie, do kogo uśmiechnie się szczęście, wszyscy mają takie same podstawy, by żywić nadzieję...

Kupiec Mack był przygotowany, jego niewód leżał w łodzi, a szyper nie odrywał oczu od lunety. Galeas i dwa inne kutry Macka stały w zatoce, dopiero co wyniesiono na ląd ładunek suszonego dorsza z Lofotów; teraz kupiec będzie ła-

dował śledzie, jeśli śledzie przyjdą; w nabrzeżnych magazynach kupca czekało mnóstwo pustych beczek. Najwyraźniej zamierzał skupić wszystkie śledzie, tyle, ile tylko zdoła; w tym celu już zawczasu zaopatrzył się w gotówkę, by zrobić interes, zanim ceny pójdą w górę.

Już w połowie maja Mackowi udał się pierwszy połów. Wprawdzie nic wielkiego, ledwie pół setki beczek, ale wiadomość rozniosła się szeroko i w kilka dni później pojawiła się jakaś obca załoga z niewodem. Perspektywy były tu wspaniałe.

I wtedy to pewnej nocy dokonano włamania do kantoru w fabryce Macka. Bardzo zuchwałe przestępstwo, noce bowiem są teraz świetliście jasne od wieczora do rana, i z daleka widać wszystko, co się dzieje. Złodziej wyłamał dwoje drzwi i ukradł dwieście talarów.

Wydarzenie w tej okolicy po prostu niesłychane i trudne do pojęcia. Nawet najstarsi ludzie po raz pierwszy w życiu słyszeli, żeby się ktoś włamał do samego Macka. Miejscowi mogli podkradać to i owo z biedy, ale na takie złodziejstwo nikt by się nie zdobył. Toteż od razu podejrzenie padło na obcą załogę, rozpoczęły się dochodzenia i przesłuchania.

Przybysze udowodnili jednak, że w noc przestępstwa znajdowali się wszyscy w komplecie na oddalonych morskich łowiskach, wypatrując śledzi w odległości co najmniej dziesięciu kilometrów od fabryki.

Wtedy kupiec Mack oburzył się niezmiernie. Skoro bowiem tak, to przestępstwa musiał się dopuścić ktoś tutejszy.

Nie tyle już o pieniądze chodziło kupcowi Mackowi, powiedział zresztą otwarcie, że złodziej był głupi, skoro nie wziął więcej. Ale że ktoś ze współobywateli okradł właśnie jego, to już obrażało wielkiego pana i opiekuna wszystkich. Czyż to nie on pokrywa połowę budżetu gminy podatkami z różnych swoich przedsiębiorstw? I czyż naprawdę potrzebujący wsparcia opuścił kiedyś jego kantor bez pomocy?

Mack wyznaczył nagrodę za wykrycie sprawcy. Niemal codziennie przybywały przecież nowe załogi rybackie i wszyscy ci obcy ludzie musieli się dziwić, jakie to stosunki panują między kupcem Mackiem a mieszkańcami gminy,

skoro kradną mu oni po nocach pieniądze. Jak na energicznego króla interesu przystało, wyznaczył nagrodę w wysokości czterystu talarów. Cały świat może się przekonać, że mu na paru setkach nie zależy.

Nowy pastor dowiedział się o całej historii i postanowił interweniować. W niedzielę Świętej Trójcy, kiedy w kazaniu miała być mowa o Nikodemie, który nocą odwiedził Pana Jezusa, pastor wykorzystał sposobność, by zaatakować złodzieja.

– Oto przychodzą do nas nocą – mówił. – Wyważają nasze drzwi i rabują nasze mienie. Nikodem nie uczynił niczego złego, był to człowiek lękliwy, dlatego wybrał noc na odwiedzin; on jednak przyszedł dla dobra swojej duszy. A jak się postępuje dzisiaj? O, zaprawdę, nikczemność rozpanoszyła się na świecie, wykorzystuje się noc, by plądrować i grzeszyć. Niechaj winnego spotka kara, niech się nam pokaże!

Nowy pastor zaprezentował się jako człowiek wojowniczy. Dopiero po raz trzeci wygłaszał kazanie, a już wielu tujejszych grzeszników nakłonił do pokuty. Kiedy stał na ambonie, blady i zmieniony na twarzy, wyglądał jak szaleniec. Znaleźli się w parafii tacy, którzy mieli dość już pierwszej niedzieli i nie pokazali się więcej w kościele. Nawet sama panna van Loos była wstrząśnięta, choć to przecież piła z twardej stali, której dotychczas nikt nie zdołał stępić zębów. Obie podległe jej dziewczyny z radością dostrzegły przemianę.

W zatoce aż się roiło od ludzi. Niektórzy z przybyłych wcale nie współczuli kupcowi Mackowi z powodu tego pasztetu, jakim go uraczono. Mack stał się bowiem zbyt potężny z tymi wielkimi sklepami aż w dwóch miejscowościach, ze swoimi sieciami, z fabryką i licznymi statkami. Obcy rybacy trzymali się własnych kupców, którzy byli bardziej towarzyscy i uprzejmi, i nie nosili jak Mack białych kołnierzyków i jelonkowych rękawiczek. Kradzież mu się należała za to zadzieranie nosa. I niech też dobry pan Mack tak nie szasta na prawo i lewo setkami, bo będzie potrzebował gotówki na zakup śledzi. Jeśli śledzie przyjdą. Taki bogaty chyba

nie jest, żeby mieć pieniędzy jak gwiazd na niebie. Bóg raczy wiedzieć, czy sprawcą włamania nie jest on sam lub jego syn Fredrik, może chcieli pokazać, że mogą tracić pieniądze niczym siano, choć w rzeczywistości są w kłopotach. Plotki krążyły po lądzie i morzu.

Mack zrozumiał, że w tej sytuacji musi się jakoś pokazać. Kręcili się tu teraz rybacy z pięciu parafii, którzy zabiorą swoje wrażenia do rodzin i do kupców w innych okolicach. Ludzie nie przestaną się zastanawiać, co to za człowiek z tego Macka w Rosengaard.

Kiedy więc następnym razem wybierał się do fabryki, wynajął sobie parowiec. Miał do przebycia ledwie dziesięć kilometrów, wynajęcie parowca kosztowało mnóstwo talarów, ale Mack nie liczył się z pieniędzmi. W zatoce zapanowało poruszenie, gdy parowiec z łoskotem pruł fale, wioząc Macka i jego córkę, Elise. Mack był, żeby tak rzec, panem statku, stał na pokładzie w futrze i przepasany szerokim czerwonym szalem, choć był to przecież letni dzień. Kiedy ojciec i córka wysiedli, statek natychmiast zawrócił i odplynął, wszyscy mogli się więc przekonać, że parowiec przybył wyłącznie w jednym celu. I wtedy też wielu spośród obcych rybaków ugięło się przed potęgą Macka.

Mack jednak posunął się jeszcze dalej. Nie mógł zapomnieć wstydu, jaki ściągnęło na niego włamanie. Wywiesił więc nowy plakat, w którym obiecał wypłacić owe czterysta talarów nagrody samemu złodziejowi, jeśli tylko się ujawni. Nigdy nie widziano takiego gestu. Czy teraz ludzie nie będą musieli przyznać, że to nie o te nieszczęsne ukradzione pieniądze chodzi Mackowi? Ale nie na wszystkich wargach plotki zamarty: jeśli złodziejem jest ten, o kim myślę, to i teraz się nie zgłosi! Wspomnicie moje słowa!

Wielki Mack znalazł się po prostu w nieznośnej sytuacji. Jego pozycja jest oto podkopywana. Przez dwadzieścia lat był wielkim Mackiem i wszyscy z szacunkiem mu się kłaniali, a teraz odnosi się wrażenie, że czynią to już z mniejszym respektem niż dawniej. A on przecie na dodatek jest kawalerem królewskiego orderu. Ba, czymże on w ogóle nie jest! Nawet przewodniczącym gminy, miejscowi rybacy go

ubóstwiali, drobni sklepikarze z sąsiednich miejscowości małpowali go. Mack cierpiał na żołądek, prawdopodobnie z powodu zbyt wykwintnego, królewskiego wprost stylu życia. Gdy tylko zrobiło się trochę chłodniej, owijał się w okolicy żołądka szerokim, czerwonym szalem. Drobni kupcy z sąsiednich miejscowości zaczęli także nosić czerwone szale na brzuchu, ci wszyscy mieli dorobkiewiczze, którym Mack z łaski pozwalał żyć. Oni też pragnęli uchodzić za wielkich panów, którzy jadają tak wykwintnie i obficie, że dostają od tego bólu brzucha. Mack chodził do kościoła w skrzypiących butach i zawsze kroczył środkiem nawy z wielkim hałasem. Nauczył ludzi nosić skrzypiące obuwie. Niektórzy wkładali nawet buty do wody i suszyli je na niedzielę, żeby porządnie w kościele skrzypiały. Mack we wszystkim był najwyższym wzorem.

IV

Rolandsen siedzi w swoim pokoju i eksperymentuje. Z okna widzi, że w lesie pewna gałąź pewnego drzewa porusza się w górę i w dół. Ktoś musi chyba potrząsać drzewem, ale liście są już zbyt gęste, by można zobaczyć coś więcej. Rolandsen wraca więc do swoich doświadczeń.

Jakoś mu jednak praca dzisiaj nie idzie. Próbuje więc pograć na gitarze, zawodzi rzewne, śmieszne piosenki, ale i to go nie zadowala. Wiosna przyszła, krew się burzy w Rolandsenie.

Elise Mack przyjechała, spotkał ją wczoraj wieczorem. Zachowywał się wyniośle, zadzierał nosa, panna sprawiała wrażenie, jakby chciała mu się przypodobać, mówiła jakieś uprzejmości, ale on nie dał się na to nabrać.

– Mam pana pozdrowić od telegrafistów z Rosengaard – oznajmiła.

Rolandsen nie przyjaźnił się z telegrafistami, nie miał wśród nich kolegów. Znowu chciała podkreślić, jaki dystans dzieli ich oboje, ale on odplacił jej tym samym, odda przy pierwszej okazji.

– Musi mnie pan pouczyć kiedyś gry na gitarze – powiedziała.

Można by się było zastanowić, czy nie przyjąć zaproszenia; ale Rolandsen nie skorzystał z okazji. Wolał natomiast się odegrać. Powiedział więc:

– Chętnie. W każdej chwili. Może pani sobie wziąć moją gitarę.

Proszę, jak sobie z nią poczyna. Jakby to nie była Elise Mack, dama, która gdyby chciała, mogłaby mieć dziesięć tysięcy gitar.

– Nie, dziękuję – odparła. – Ale możemy chyba trochę na niej poćwiczyć?

– Może ją pani wziąć.

Wtedy panna potrząsnęła głową i powiedziała:

– Proszę wybaczyć, ale wcale jej nie chcę.

Złośliwość Rolandsena musiała ugodzić ją boleśnie. Zrezygnował więc z zemsty i wymamrotał:

– Chciałem ofiarować pani jedyne, co mam.

Potem naciągnął kapelusz na czoło i odszedł.

Szedł w stronę zagrody dzwonnika. Chciał spotkać Olgę. Nastawa wiosna, Rolandsen musi mieć wybrankę serca, bo niełatwo jest panować nad sercem tak wielkim. Miał zresztą jeszcze inny powód, by zalecać się do Olgi. Rozeszły się bowiem pogłoski, że Fredrik Mack zaczął myśleć o córce dzwonnika, i Rolandsen chętnie sprzątnąłby mu sprzed nosa upragnioną zdobycz. Fredrik to brat Elise, dobrze by tej rodzinie zrobiło, gdyby któreś dostało kosza. No i sama Olga też warta była zachodu. Rolandsen obserwował, jak wyrastała z podlotka na pannę; warunki w domu mieli skromne, zanim dostała nowe ubranie, stare musiało być porządnie zniszczone, jest jednak świeża i ładna, a jej nieśmiałość po prostu rozkoszna.

Rolandsen spotykał ją przez dwa dni z rzędu. Mogło się tak stać tylko dlatego, że po prostu przychodził do ich domu i za każdym razem pożyczał ojcu dziewczyny książkę. Musiał dzwonnikowi te książki dosłownie wciskać, bo stary człowiek ani ich nie pragnął, ani nie rozumiał. Rolandsen przekonywał go długo i z wielkim zapamię. To są najpożyteczniejsze książki świata, mówił. Dlatego chcę je upowszechnić, nadać im rozgłos, proszę bardzo.

Zapytał dzwonnika, czy umie strzyc włosy, lecz on nigdy w życiu jeszcze tego nie robił, u nich w domu fryzjerstwem zajmuje się Olga, wyjaśniał. To ona wszystkich strzyże. Wobec tego Rolandsen ją gorąco prosić dziewczynę, by i z jego włosami zrobiła porządek. Zarumieniła się i schowała się przed nim:

– Nie umiem – zdążyła tylko odkrzyknąć.

Rolandsen ją jednak złapał i dosłownie zalał potokiem tak szczerych słów, że musiała ulec.

– Jaką fryzurę chciałby pan mieć? – zapytała.

– Jaką pani uzna za odpowiednią – odparł. – Bo jakiej to ja w ogóle mógłbym sobie życzyć?

Zaraz potem zwrócił się do dzwonnika, nie dawał mu odetchnąć, zasypywał natrętnymi pytaniami, aż go w końcu zmęczył. Nie trwało długo, a stary wycofał się do kuchni.

Rolandsen stroił miny i odgrywał wytwornego pana. Powiedział do Olgi:

– Kiedy w zimowy wieczór przebywa pani na dworze w ciemności, a potem wejdzie do oświetlonej izby, to wówczas ze wszystkich stron światło spływa na pani twarz.

Olga nie bardzo rozumiała, o co mu chodzi, ale przytaknęła.

– Otóż to – rzekł Rolandsen. – Tak właśnie dzieje się ze mną, kiedy przychodzę do pani.

– Tu chyba nie powinnam już bardziej przycinać? – zapytała Olga.

– Ależ owszem, proszę strzyc dalej. Sama pani najlepiej wie, jak to zrobić. No proszę, przed chwilą chciała pani uciec i schować się, ale mnie by się od tego nie poprawiło. To tak jakby błyskawica miała zgasić iskrę.

Chyba kompletnie zwariował.

– Gdyby zechciał pan trzymać głowę nieruchomo, byłoby mi łatwiej – powiedziała Olga

– Więc nie wolno mi na panią patrzeć? Panno Olgo, proszę mi powiedzieć, czy pani jest zaręczona?

Na to biedaczka nie była przygotowana. Nie osiągnęła jeszcze tego wieku i doświadczenia, w którym już byle co nie może zbić z tropu.

– Ja? Nie – bąknęła tylko. – Myślę, że tak chyba może zostać. Gdybym mogła jeszcze trochę wyrównać. – Nadrabiała miną, podejrzewała bowiem, że Rolandsen ma w czubie.

Ale on nie miał w czubie, był trzeźwy, dużo pracował ostatnimi czasy, wszystkie te obce załogi wciąż dostarczały telegrafiście zajęcia.

– Nie, nie, proszę jeszcze nie kończyć – prosił. – Niech pani będzie tak dobra i przystrzyże jeszcze raz albo i dwa całą głowę.

Wtedy Olga roześmiała się:

– Nie, to przecież nie ma sensu.

– Ach, te pani oczy, to jakby dwie gwiazdy-bliźniaczki – westchnął. – A pani uśmiech przenika mnie go głębi niczym światło słońca.

Zdjęła ręcznik z jego ramion, oczyściła ubranie szczotką i zebrała włosy z podłogi. On rzucił się pomagać, uklęknął, i dzięki temu ich ręce się spotkały. Była taka młoda, poczuł na twarzy jej oddech, fala gorąca zalała jego ciało. Złapał ją za rękę. Zauważył, że bluzkę pod szyją spina najpospolitsza agrafka. Wyglądało to naprawdę biednie.

– Och, dlaczego pan to robi? – wyjąkała.

– Tak sobie, bez powodu. Chociaż owszem, winienem pani podziękowanie za pracę. I gdyby nie to, że jestem zaręczony, i że tak musi pozostać, na pewno bym się w pani zakochał.

Wstała, trzymając w garściach zgarnięte włosy, Rolandsen klęczał nadal.

– Pobrudzi pan sobie ubranie – powiedziała, idąc do drzwi.

Kiedy dzwonnik wrócił, Rolandsen musiał znowu wyglądać na wesołego, pokazywał mu swoją ostrzyżoną głowę i naciągał kapelusz głęboko na uszy, żeby udowodnić, iż nakrycie zrobiło się za duże. Nagle spojrzął na zegarek, powiedział, że musi wracać do biura i wyszedł.

Udał się jednak do sklepu. Prosił, żeby mu pokazano zapinki do bluzek i broszki, mogą być te najdroższe. Wybrał imitację kamei i prosił o skredytowanie należności. Tej prośby jednak nie spełniono, bo już i tak był sporo winien. Wobec tego wybrał tanią broszkę ze szkła przypominającego agat, zapłacił drobnymi, które miał przy sobie. I Rolandsen ruszył przed siebie ze swoim skarbem.

Działo się to wczoraj wieczorem...

Teraz Rolandsen siedzi w swojej izbie, ale jakoś nie może pracować. Bierze więc kapelusz i wychodzi, by zobaczyć, kto to w lesie trzęsie drzewem. Idzie prosto w paszczę lwa, bo to panna van Loos dawała mu te znaki, a teraz stoi i czeka na niego. Powinien był powściągnąć ciekawość.

– Dzień dobry – przywitała się gospodyni pastora. – Co to za fryzura, coś się tak wysztafirował?

– Mam zwyczaj strzyc się na wiosnę – odparł.

– Ale w zeszłym roku ja to robiłam. Czy w tym nie jestem już dość dobra?

– Nie chcę się z tobą kłócić – rzekł.

– Nie?

– Nie. I nie musisz tu wystawać, nie musisz wyszarpywać całego lasu z korzeniami, żeby cię wszyscy widzieli.

– Ty też nie musisz tu stać i gadać byle czego – syknęła panna van Loos.

– Powinnaś raczej czekać na mnie przy drodze i machać mi gałązką oliwną na znak pokoju – ciągnął Rolandsen.

– Sam się ostrzygłeś?

– Olga to zrobiła.

Tak, tak, ostrzygła go ta, która może kiedyś będzie żoną Fredrika Macka. Nie zamierzał robić z tego tajemnicy, przeciwnie, roztrąbi na prawo i na lewo.

– Olga, powiadasz?

– I co z tego? Jej ojciec by przecież nie umiał.

– Doprowadzisz do tego, że pewnego dnia wszystko się między nami rozleci – rzecze panna van Loos.

Rolandsen stał przez chwilę i zastanawiał się.

– Tak też by pewnie było najlepiej – westchnął na koniec.

Wtedy ona krzyknęła:

– Co ty mówisz!

– Co ja mówię? Mówię, że wiosna kompletnie pomieszała ci w głowie. Spójrz na mnie, czy dostrzegasz we mnie choćby cień wiosennego niepokoju?

– Bo też ty jesteś mężczyzną – odparła po prostu. – Ale ja się nie zgadzam na te głupstwa z Olgą.

– Czy to prawda, że pastor jest bogaty? – zapytał.

Panna van Loos przetarła oczy, znowu była praktyczna i energiczna.

– Bogaty? Ja myślę, że on jest biedny jak mysz kościelna. Kolejna nadzieja Rolandsena prysła.

– Powinieneś tylko zobaczyć jego ubrania – mówiła panna van Loos. – I powinieneś zobaczyć ubrania jego żony. –

Ma kilka spódnic, które... Ale to niezrównany kapłan. Słyszałaś jego kazanie?

– Nie.

– To najlepszy kaznodzieja, jakiego kiedykolwiek słyszałam – oznajmiła panna van Loos bergeńskim dialektem.

– Jesteś pewna, że nie jest bogaty?

– Wiem w każdym razie, że odwiedził kupca i kazał sobie otworzyć kredyt.

Na moment świat pociemniał Rolandsenowi w oczach i nieszczęsny chciał odejść.

– Idziesz? – spytała.

– Idę. Czego ty właściwie ode mnie chcesz?

Mój Boże, nowy pastor już wywarł na nią wpływ, zaczęła się ćwiczyć w łagodności; teraz jednak dawna natura znowu wzięła górę.

– Jedno ci powiem – rzekła. – Posuwasz się za daleko.

– W porządku – odparł Rolandsen.

– Wyrządzasz mi straszną niesprawiedliwość.

– Niech i tak będzie – odpowiedział Rolandsen niewzruszony.

– Nie zniosę tego dłużej, kończę z tobą.

Rolandsen zastanawiał się chwilę nad jej słowami. Potem oznajmił:

– Kiedyś myślałem, że to między nami będzie trwałe. Z drugiej jednak strony, nie jestem przecież Panem Bogiem, nic na to nie poradzę. Rób, jak chcesz.

– No i zrobię – syknęła.

– Pierwszego wieczoru tu w lesie nie byłaś taka obojętna. Całowałem cię, a z twoich ust wydobywało się tylko ciche pojękiwanie.

– Wcale nie jęczałam – zaprotestowała.

– I kochałem cię, myślałem, że to będzie na całe życie, wyobrażałem sobie, że będziesz dla mnie kimś wyjątkowym, pięknym. Tak, tak to było!

– Mną się nie przejmuj – powiedziała z goryczą. – Ale co będzie z tobą?

– Ze mną? Pojęcia nie mam. Zresztą wcale mnie to nie interesuje.

– Bo nie powinieneś sobie wyobrażać, że coś ci kiedyś wyjdzie z Olgą. Ją dostanie Fredrik Mack.

Aha, pomyślał Rolandsen. Więc cały świat już o tym wie. Pograżony w myślach ruszył przed siebie, a panna van Loos za nim. Zeszli na drogę i podążali dalej.

– Dobrze ci w krótkich włosach – zauważyła. – Tylko że kiepsko ostrzyżone, bardzo nierówno.

– Czy możesz mi pożyczyć trzysta talarów? – zapytał Rolandsen.

– Trzysta talarów?

– Na sześć miesięcy.

– Nie pożyczylabym ci za nic. Między nami wszystko skończone.

Skinął głową i rzekł:

– No i niech tak będzie.

Kiedy jednak doszli do furtki probostwa, gdzie Rolandsen powinien zawrócić, powiedziała:

– Nie mam, niestety, trzystu talarów dla ciebie. – Podała mu rękę ze słowami:

– Nie mogę tu już dłużej stać, zatem powodzenia.

Odeszła jednak tylko parę kroków, obejrzała się znowu i zapytała:

– Nie masz jakichś ubrań, na których mogłabym ci wyszyć monogramy?

– Skąd miałbym mieć? – odparł. – Przecież ostatnio nie kupowałem nic nowego.

Odeszła. Rolandsen odetchnął z ulgą i pomyślał: żebyż to naprawdę był ostatni raz.

Na słupie przy furtce wisiał plakat i Rolandsen go przeczytał. To informacja kupca Macka w związku z kradzieżą. Całe czterysta talarów za wiadomość. Nagroda zostanie wypłacona nawet samemu złodziejowi, gdyby się ujawnił.

Czterysta talarów jak obszył, rozważał Rolandsen.

V

Nie, nowi pastorostwo nie byli bogaci, raczej wprost przeciwnie. Jedyne, co nieszczęsna pastorowa wyniosła z rodzinnego domu, to bezsensowne nawyki osoby zamożnej, i chciała mieć wokół siebie pełno służby. Nie miała żadnego zajęcia, nie urodziła przecież dziecka, a dbania o dom nigdy jej nie nauczono, dlatego do jej małej główki wciąż wpadały jakieś dziecinne pomysły. Była krzyżem dla swego domu, choć miłym i rozkosznym.

Boże wielki, jakież kosmiczne boje staczał niestrudzony, zacny pastor, by nauczyć żonę trochę porządku, trochę zastanowienia. Od czterech lat nad tym pracował, wszystko na próżno. Zbierał z podłóg nici i papiery, układał przedmioty na swoim miejscu, zamykał za nią drzwi, doglądał pieców i dokręcał wentyle. Kiedy pani wychodziła z domu, odbywał rundę po pokojach i patrzył, w jakim stanie je zostawiła. Wszędzie szpilki do włosów, włosy w grzebieniach, chusteczki do nosa po wszystkich kątach, krzesła dosłownie zasłane ubraniami. Pastor zżymał się i zaprowadzał ład. Nawet w czasach kawalerskich, kiedy mieszkał na nędznej stacji, nie czuł się taki bezdomny jak teraz.

Początkowo jego prośby i wymówki odnosiły jakiś skutek. Pani przyznawała, że mąż ma rację, i obiecywała, że się poprawi. Następnego ranka potrafiła wstać bardzo wcześnie i zabrać się do generalnych porządków; w dziecku budziła się powaga, uznawało, że powinno być dorosłe, i było aż do przesady. Wkrótce jednak zapał gasł, a po paru dniach dom wracał do dawnego stanu. I nie dziwiła się bynajmniej, że znowu po kątach panuje bałagan, przeciwnie, zdumiewało

ją, że małżonek na nowo zaczyna dawać wyraz swemu wiecznemu niezadowoleniu

– Straciłam tę miseczkę i potłukłam, ale przecież nie była taka droga – tłumaczyła.

– Tylko że skorupy leżą od rana – złościł się.

Pewnego dnia pastorowa oznajmiła, że służąca Oline musi zostać odprawiona. Bo Oline twierdzi, że pani zabiera różne rzeczy z kuchni, a potem zostawia je tam, gdzie ich używała.

Tak więc pastor twardniał i zamykał się w sobie, zaprzestał codziennych napomnień, zaciskając wargi sprzątał i porządkował setki porozrzucanych rzeczy i odzywał się tylko w razie konieczności. Żona nie miała nic przeciwko temu, była przyzwyczajona, że ktoś za nią doprowadza wszystko do ładu. Mąż rozmyślał zresztą nieraz, że w gruncie rzeczy jest mu jej żal. Przecież, zawsze miła, krząta się po domu mizerna, w nędznym ubraniu, ale nigdy ani słowem nie poskarży się na ubóstwo, choć przywykła do najlepszych warunków. Mogła siedzieć i szyc, przerabiając wielokrotnie już przedtem przerabiane suknie i zadowolona podśpiewywała niczym młoda dziewczyna. Nagle jednak znowu budziło się w niej dziecko, dobra żona porzucała szycie, zostawiała cały bałagan i szła na spacer. A stół i krzesła mogły całymi dniami stać zawalone częściami poprutych sukien. Dokąd to tak biegła? Z domu wyniosła zwyczaj chodzenia po sklepach, cieszyła się, mogąc coś kupować. Zawsze potrzebowała jakichś resztek materiałów, kawałków wstążek, wszelkiego rodzaju grzebyków i szpilek do włosów, perfum, proszku do zębów, metalowych przedmiotów, jak pudełka na zapałki, jakieś rozpylacze. Kup choćby i drogo, ale jedną rzecz, coś większego, myślał pastor. Niech mnie to kosztuje, niech nawet popadnę w długi. Spróbuję napisać krótką pobożną opowiastkę dla ludu i spłacę należność.

I tak mijały im lata. Często dochodziło do starć, mimo to małżonkowie kochali się i gdyby pastor nie wtrącał się do zbyt wielu spraw, życie układałoby się jak najlepiej. Ale miał on tę przykrą cechę, że czujnym okiem śledził wszystko nawet z oddali, nawet z okna swojej kancelarii; wczoraj na

przykład zobaczył, że deszcz pada na kołdry, rozwieszane na dworze. Czy powinienem wszcząć alarm? – zastanawiał się. Nagle dostrzega małżonkę, jest na dworze i ucieka przed deszczem do domu. Kołder z pewnością nie zabierze, pomyślał. I rzeczywiście, pastorowa nie zatrzymując się poszła na górę do swego pokoju. Wobec tego małżonek zaczął wołać w stronę kuchni, ale tam nikogo nie było; słyszał, że panna van Loos hałasuje naczyniami w pomieszczeniu mleczarskim. Koniec końców poszedł sam ratować kołdry.

Na tym sprawa powinna się była zakończyć. Pastor jednak, ta zrzęda, nie potrafił utrzymać języka za zębami. Wieczorem pastorowa zaczęła szukać pościeli. Przyniesiono kołdry.

– Ależ one są mokre – zdumiała się pani.

– Byłoby jeszcze gorzej, gdybym ich nie zabrał – odparł pastor.

Wtedy małżonka zawołała:

– To ty wniosłeś je do domu? Naprawdę nie musiałeś tego robić, sama mogłam wydać polecenie służącym.

Pastor uśmiechnął się z goryczą:

– I kołdry wisiałyby na dworze do tej chwili.

Pani pastorowa poczuła się urażona:

– Naprawdę nie musisz tyle gderać z powodu tych paru kropel deszczu. Jesteś dzisiaj po prostu nieznośny, o wszystko masz pretensje!

– Nie miałbym nic przeciwko, żebym nie musiał tego robić – odparł. – Czy widzisz, że twoja miednica stoi właśnie na łóżku?

– Postawiłam ją tam, bo gdzie indziej nie było miejsca – ucięła pastorowa.

– Gdybym ci kupił jeszcze jedną umywalnię, natychmiast byś ją zarzuciła różnymi rzeczami – warknął.

Pani straciła cierpliwość i westchnęła:

– Boże, jaki ty jesteś okropny! Musisz być chyba chory. Nie, dłużej tego nie zniosę!

Usiadła i patrzyła tępo przed siebie.

Ale zniosła. Po chwili sprzeczka poszła w niepamięć, jej dobre serce darowało krzywdy. Takie szczęśliwe miała usposobienie.

I pastor coraz więcej przesiadywał w kancelarii, do której domowy bałagan jakoś nie docierał. Był człowiekiem wytrzymałym i krzepkim, istny koń roboczy. Swoich pomocników wypytywał o moralne życie parafii, a to, co słyszał, nie napełniało go radością. Pisał więc pastor listy z reprimendami i napomnieniami, to do jednego, to znów do innego członka wspólnoty parafialnej; jeśli to nie pomagało, osobiście odwiedzał grzesznika. Był niebezpiecznym i budzącym grozę człowiekiem. I nikogo nie oszczędzał. Na własną rękę wywiedziało się, że jeden z pomocników, nazwiskiem Levion, ma siostrę, pannę, która bardzo swobodnie sobie poczyną z młodymi rybakami. Ona też dostała list. Pastor wezwał w jakiejś sprawie jej brata, a potem odprawił go do domu z listem i następującym poleceniem:

– Oddaj jej to i powiedz, że będę miał ją na oku...

Przyszedł z wizytą kupiec Mack i pastor wprowadził go do salonu. Wizyta była krótka, ale ważna; Mack zaproponował pastorowi wsparcie, gdyby ten potrzebował go dla kogoś z parafian. Pastor dziękował, szczerze uradowany. Gdyby nawet wcześniej o tym nie wiedział, to teraz nabrałby pewności, że Mack z Rosengaard jest opiekunem wszystkich. Starszy pan był taki elegancki i władczy, nawet pani pastrowej, która przecież pochodziła z miasta, zaimponował. A jaki wytworny, spinki u koszuli są na pewno wysadzone drogimi kamieniami.

– Z rybą w tym roku idzie nieźle – powiedział Mack. – Znowu udało mi się odciąć ładną ławicę. No, nie jest tego wiele, ledwie ze dwadzieścia beczek, ale to niezły dodatek do poprzednich połowów. Pomyślałem więc, że człowiek powinien też pamiętać o swoich obowiązkach względem innych.

– To prawda! – wołał pastor wzruszony. – Tak powinno być! – Dwadzieścia beczek, to niezbyt obfity połów? Nie bardzo się na tym znam.

– Owszem, dwa, trzy tysiące beczek to dużo lepiej.

– Pomyśleć, dwa, trzy tysiące beczek! – mówi pastrowa.

– Ale to, czego ja sam nie zdołam złowić, kupuję od innych – wyjaśnia dalej Mack. – Jedna z przyjezdnych załóg

zagarnęła wczoraj niezłą ławicę; natychmiast kupiłem całość. Chcę załadować śledziami wszystkie swoje statki.

– Prowadzi pan wielkie przedsiębiorstwo – stwierdził pastor.

Mack przyznał, że teraz rzeczywiście interes zaczął się rozrastać. To właściwie stara, odziedziczona firma, wyjaśnił, i dopiero on ją rozwinął, stworzył nowe przedsiębiorstwa. Wszystko to robi dla swoich dzieci.

– Mój Boże, ile tak naprawdę warsztatów, fabryk i sklepów pan posiada? – spytała zachwycona pastorowa.

Mack roześmiał się i odparł:

– Szczerze mówiąc, nie wiem, proszę pani. Musiałbym policzyć.

Mack podczas tej pogawędki zapomniał na chwilę o troskach i kłopotach, a wypytywanie o interesy nie było mu w żadnym razie niemiłe.

– Gdybyśmy tak mieszkali w pobliżu pańskiej wielkiej piekarni w Rosengaard – westchnęła pastorowa, okazując w ten sposób dbałość o swoje gospodarstwo. – My sami pieczemy bardzo niedobry chleb.

– Jest przecież piekarz u lensmana.

– Owszem, ale on chleba nie wypieka.

– I, niestety, okropnie pije – dodał pastor. – Napisałem do niego list.

Mack milczał co najmniej minutę.

– W takim razie założę tutaj piekarnię – oznajmił.

Był wszechpotężny, robił, co tylko chciał. Jedno jego słowo i piekarnia stoi.

– Pomyśleć! – zawołała pastorowa, nie posiadając się ze zdumienia.

– Łaskawa pani będzie otrzymywała chleb. Zaraz zادهپسزuję po robotników. To nie potrwa długo, kilka tygodni.

Lecz pastor milczał. Czy gospodyni i służące nie mogą piec potrzebnego chleba? Kupny wyniesie drożej.

– Muszę panu podziękować, że tak chętnie otworzył mi pan kredyt w sklepie – zwrócił się do gościa.

– Tak, właśnie – przyłączyła się pastorowa, dając ponownie dowód gospodarskiej troski.

– Ależ to się rozumie samo przez się – odparł Mack. – Wszystko, czego sobie państwo życzą, będzie do dyspozycji.

– To niezwykle mieć nad wszystkim taką władzę jak pan – mówi pastorowa.

Mack odpowiada:

– Nie nad wszystkim, łaskawa pani. Nie jestem nawet w stanie wykryć włamywacza.

– Tak, to doprawdy niesłychane! – wybucha pastor. – Obiecuje pan złodziejowi olbrzymią nagrodę, majątek po prostu, a on się nie zgłasza.

Mack potrząsa głową.

– A poza tym to też najczarniejsza niewdzięczność okradąć właśnie pana – mówi pastorowa.

Mack przytakuje:

– Skoro pani tak mówi. Rzeczywiście, nie spodziewałem się tego. Nie, naprawdę. Nie pojmuję, że mogło mnie to spotkać od własnych ludzi.

– Tak to już jest – zauważył pastor – że okradają tego, u kogo jest co kraść. Złodziej wiedział, dokąd iść.

Tak oto pastor dość naiwnie trafił w samo sedno. Mack znowu się rozpogodził. Bo przecież jeśli spojrzeć na sprawę tak, jak to uczynił pastor, to i upokorzenie z powodu kradzieży wydaje się mniejsze.

– Ludzie jednak chodzą i gadają – rzekł. – To mi szkodzi i martwi mnie. Tylu tu teraz obcych, oni mnie nie oszczędzają. A moja córka, Elise, bardzo to sobie bierze do serca. Ale – westchnął i wstał – taki już widać los. No więc, jak powiedziałem, natknie się pastor gdzieś w parafii na biedę, to proszę łaskawie o mnie pamiętać.

Mack poszedł. Pastorostwo wywarli na nim jak najlepsze wrażenie, będzie więc ich polecać każdemu, kogo tylko spotka. Zaszkozić im to przecież nie może. Chociaż kto wie? Jak daleko posunęły się plotki na jego temat? Wczoraj przyjechał syn Fredrik i opowiadał, że jakiś pijany rybak z obcej załogi wołał za nim z łodzi: – No i co, zgłosiłeś się i dostałeś nagrodę?

VI

Dni nastaly gorące, śledzie, którym odcięto odwrót, musiały pozostawać w sieciach, bo inaczej by się zepsuły; wybierano je tylko podczas deszczu lub w chłodne noce. Wtedy też ustał dalszy przyływ ryb, pora zrobiła się późna, przyjezdne załogi jedna po drugiej zbierały się do drogi. W rodzinnych stronach czekały już roboty polowe, wymagały powrotu mężczyzn.

Noce też stały się jasne i pełne słońca. Pogoda jak stworzona do spacerów i do marzeń. Młodzi do rana włączyli się po drogach, śpiewali i trzaskali biczami z łożyny. Ze wszystkich wysp i ze wzgórz słyhać było śpiewy ptactwa, odzywały się nury i ostrygojady, mewy i edredony. I foka wynurzyła czasami z wody swój mokry łeb, rozglądała się dookoła i znikala w swoim świecie. Ove Rolandsen też na swój sposób marzył. Po nocach często słyszano z jego pokoju śpiew i dźwięk gitary, a to chyba więcej niż można oczekiwać od mężczyzny w jego latach. Nie tylko z czystego zachwytu tak uderzał w struny i śpiewał, o nie, nie, on chciał się też rozerwać i odetchnąć trochę od swoich poważnych rozmyślań. Rolandsen wytęża myśli jak może, popadł bowiem w prawdziwe tarapaty i musi znaleźć jakieś wyjście. Panna van Loos oczywiście wróciła do niego, ona w miłości nie zwykła partaczyć, trzymała się swego narzeczeństwa siłą. Z drugiej zaś strony, Rolandsen nie jest przecież Panem Bogiem, nie potrafi panować nad swoim sercem, które na wiosnę wyrywa się z piersi. Trudno z taką narzeczoną, która nie zrozumie, że jak koniec, to koniec.

Telegrafista znowu zaszedł do zagrody dzwonnika, a Olga siedziała na progu. Cena śledzi była znowu znakomi-

ta, nastały dobre czasy i sporo pieniędzy wpłynęło do parafii. Olga jakby się tym pyszniła. Czy też może coś ją ugryzło? Czyż bowiem Rolandsen jest mężczyzną, którego można lekceważyć? Tymczasem ona ledwie raczyła na niego spojrzeć i wróciła do swojej robótki na drutach.

Rolandsen rzekł:

– Jakże pani na mnie popatrzyła! Pani spojrzenia są jak strzały, sprawiają mi ból.

– Nie rozumiem pana – odparła Olga.

– No właśnie. A czy pani sądzi, że ja sam siebie rozumiem? Postradałem rozum. Oto stoję tu, jakbym chciał, żeby mi pani jeszcze bardziej zawróciła w głowie.

– W takim razie nie powinien pan stać – rzekła Olga.

– Dzisiejszej nocy wsłuchiwałem się w słowa mego serca. Słowa niewypowiedziane. Krótko mówiąc, postanowiłem podjąć dzisiaj wielką decyzję, gdyby pani zechciała mi jakoś doradzić.

– Ja? Ja nie mam z tym nic wspólnego.

– No cóż – westchnął Rolandsen. – Jest pani dzisiaj bardzo nieprzyjemna. Siedzi pani i wymierza razy. A poza tym włosy ma pani takie bujne, że chyba wkrótce miejsca na głowie zabraknie.

Olga milczała.

– Czy słyszała pani, że kalikant Børre ma córkę, która chętnie by za mnie wyszła?

Wtedy Olga spojrzała na niego i wybuchnęła śmiechem.

– Nie, nie, pani nie może się tak śmiać. Bo się jeszcze bardziej w pani zadurzę.

– Pan jest naprawdę szalony! – mówi Olga wolno, a jej twarz się rumieni.

– Czasami myślę sobie: może ona właśnie dlatego tak się do mnie śmieje, żeby mnie jeszcze bardziej pogryźć? Przecież kaczki i gęsi zabija się właśnie w ten sposób, najpierw nakłuwa im się lekko głowy, ptaki trochę puchną i stają się co najmniej dwa razy bardziej smaczne.

Olga odparła urażona:

– Ja tak nie robię, może pan być pewien.

Wstała, zwinęła robótkę, żeby wejść do domu.

– Jeśli pani mnie zostawi, to i tak pójdę za panią, zapytam ojca, czy przeczytał już książki – rzekł Rolandsen.

– Ojca nie ma w domu.

– Ach tak. Zresztą wcale nie pragnę go spotkać. Ale pani, Olgo, jest dzisiaj jakaś złośliwa i nieprzystępna. Nie mogę się doprosić życzliwego słowa. Lekceważy mnie pani i po-niewiera mną.

Dziewczyna znowu się roześmiała.

– No więc Børre ma córkę – powtórzył Rolandsen. – Na imię jej Pernilla. Przepytywałem trochę o tych ludzi. Jej ojciec dmie w miechy organów.

– Czy pan naprawdę musi mieć narzeczoną u każdego palca? – zapytała Olga szczerze.

– Moja narzeczona nazywa się Marie van Loos – odparł.

– Powiedzieliśmy sobie jednak, że między nami wszystko skończone. Może ją pani zapytać. Z pewnością też niezadłu-go stąd wyjedzie.

– Tak, matko, już idę – zawołała Olga do okna.

– Przecież matka pani nie wzywa, ona tylko na panią spojrziała.

– Ale ja wiem, czego chce.

– Ach tak. No, to pójdę już. Widzi pani, panno Olgo, pa-ni z pewnością wie również, czego ja chcę, ale mnie nie chce pani odpowiedzieć w ten sam sposób: tak, już idę.

Otworzyła drzwi. Musiała odnieść wrażenie, że to już nie jest ten wyniosły Rolandsen, powinien bardziej nad sobą pa-nować. Nie wypada chyba tak sromotnie przegrywać. Zaczął więc gadać coś o śmierci, starał się przy tym być bardzo za-bawny. Pozostaje mu teraz tylko umrzeć, mówił, i nie miał-by znowu tak wiele przeciwko temu. Tylko pogrzeb musiał-by się odbyć według jego woli. Osobiście przygotuje spe-cjalny żałobny dzwon, jego sercem będzie kość z udźca by-ka, taki z niego głupiec. Pastor zaś będzie musiał wygłosić mowę najkrótszą na świecie, po prostu postawi stopę na gro-bie i powie: – Niniejszym uznaję cię za zmarłego i pozba-wionego wszelkiej siły.

Olga nudziła się bardzo i wcale tego nie kryła. Miała dzisiaj czerwoną jedwabną wstążkę w wycięciu bluzki;

wyglądała w niej jak dama; nigdzie ani śladu tamtej ordynarnej agrafki.

Muszę się jeszcze bardziej postarać, pomyślał, i rzekł:

– Spodziewałem się, że coś z tego będzie. Moja dawna narzeczona z plebanii powyszywała mi wszędzie mnóstwo monogramów, i dlatego też wszystko, co posiadam, jest znaczone tak jakby nazwiskiem Olgi Rolandsenowej. Widziałem w tym znak niebios. Teraz jednak muszę się już pożegnać i podziękować za dzisiejszy dzień!

Uklonił się zamasyście kapeluszem i poszedł. Przynajmniej zakończył jak należy, z godnością. Byłoby naprawdę dziwne, gdyby teraz nie zaczęła choć trochę o nim myśleć.

Co to się dzieje? Nawet córka dzwonnika dała mu kosza. Niech tam! Ale czyż wiele nie wskazuje na to, że to tylko gra? Czemuż to siedziała przed domem, skoro wiedziała, że nadchodzi? I dlaczegoż to wystroiła się w czerwoną jedwabną wstążeczkę, niby jakaś elegantka?

Ale już po kilku dniach rojenia Rolandsena zostały zniweczone. Widział przez okno, że Olga idzie do sklepiku Macka. Została tam do późnego wieczora, a kiedy wracała, towarzyszyli jej i Fredrik, i Elise. Teraz dumny Rolandsen powinien był zachować się spokojnie, powinien zanucić sobie jakąś piosenkę lub bębnić obojętnie palcami i myśleć o swoich sprawach. On jednak złapał kapelusz i pobiegł do lasu. Zatoczył wielkie koło i wyszedł na drogę daleko przed tamtą trójką. Tutaj przystanął zdyszany. Potem ruszył im na spotkanie.

Tamci, niestety, potrzebowali strasznie dużo czasu, Rolandsen długo ani ich nie widział, ani nie słyszał. Pogwizdywał i śpiewał, jakby sądził, że oni mogą siedzieć gdzieś w lesie i obserwować go. W końcu dostrzegł, że nadchodzą, szli jak na tak późny wieczór bezwstydnie wolno, widać żadne nie spieszyło się do domu. Wielki Rolandsen ruszył ku nim z długim źdźbłem trawy w ustach i gałązką wierzby w bu-tonierce. Kiedy się mijali, obaj panowie wymienili ukłony, a panie skinęły głowami.

– Jaki pan zgrzany – zauważył Fredrik. – Gdzież to pan bywał?

Rolandsen rzucił przez ramię:

– To wiosna, wiosna mnie ponosi.

Nie była to żadna wymówka, lecz najszczęśliwsza prawda. Ho, ho, jakże wolno i obojętnie przeszedł obok nich, jak wysoko uniósł głowę, miał nawet tyle siły, by spojrzeć z góry na Elise Mack. Ledwo jednak zniknęli mu z oczu, zaszył się w las i nie był już taki wspaniały, lecz wstrząśnięty i pokonany. Olga jest bez znaczenia. W tej samej chwili przypomniał sobie o broszce, wyjął ją z kieszeni, połamał na kawałki i wyrzucił. Była też z nimi córka Macka, Elise, wysoka, śniada, odślanająca w uśmiechu białe zęby. Ją to Bóg postawił na jego drodze. Nie powiedziała ani słowa, a jutro może wyjedzie do domu. I wtedy cała nadzieja prysła.

No i dobrze.

Tymczasem niedaleko stacji czekała na niego panna van Loos. Powtarzał jej już przecież, że co minęło, to minęło, i że raczej powinna wyjechać. I panna van Loos odparła wtedy, że nie musi jej o to dwa razy prosić, żegnam. A teraz znowu stoi i czeka na niego.

– Oto ten woreczek na tytoń, który ci obiecałam – powiedziała. – Jeśli nie wzgardzisz.

Nie przyjął podarunku.

– Woreczek na tytoń? – zapytał. – Nie używam tego rodzaju woreczków.

– Ach tak – rzekła i cofnęła rękę.

Zmusił się jednak, żeby jakoś złagodzić swoje słowa.

– To chyba nie mnie obiecała pani ten woreczek. Proszę się zastanowić, może to miał być pastor? Żonaty mężczyzna.

Nie rozumiała, ile wysiłku kosztował go ten żarcik i nie umiała się powstrzymać, by nie oznajmić:

– Spotkałam na drodze panie, za którymi pewnie gonieś.

– Co panią to obchodzi?

– Ove!

– Dlaczego pani nie wyjeżdża? Przecież pani widzi, że nic się nie zmieni.

– Zmieniłoby się, gdybyś nie był takim draniem, który lata za babami.

– Chce mnie pani naprawdę rozzłościć? – krzyknął. – Dobranoc.

Panna van Loos zawołała za nim:

– Tak, rzeczywiście, jesteś gagatek! Wiem dobrze, co o tobie gadają!

Czy ta przesadna uszczypliwość ma sens? I czy nieszczęsna dusza nie mogłaby mieć na dodatek prawdziwego miłosnego zmartwienia? Krótko mówiąc, Rolandsen udał się na swoją stację, włączył aparat i poprosił kolegę ze stacji Rosengaard, żeby mu przy najbliższej sposobności przysłał pół baryłki koniaku. Bo cała ta niekończąca się historia miłosna była kompletnie pozbawiona sensu.

VII

Elise Mack tym razem nie spieszy się z wyjazdem. Opu-
szcza wielkie Rosengaard i przyjeżdża tutaj tylko po to, by
uprzyjemnić ojcu wizyty w fabryce. Z pewnością, gdyby mo-
gła tego uniknąć, z własnej woli nie postawiłaby nogi w tej
osadzie.

Z upływem lat Elise Mack stawiała się coraz ładniejsza,
nosiła czerwone, białe i żółte sukienki, zaczęto nazywać ją
panienką, choć jej ojciec nie jest pastorem ani doktorem. By-
ła ponad wszystkim, niczym słońce lub gwiazda.

Wybrała się na stację z kilkoma telegramami i Rolandsen
je przyjął. Wypowiedział tylko parę niezbędnych słów i nie
popętnił tego błędu, by witać się jak znajomy, zapytać, co
słychać. W ogóle żadnego błędu nie popełnił.

– Widzę, że napisano tutaj dwa razy obok siebie „strusie
pióra”. Nie wiem, czy tak powinno być?

– Dwa razy? – zdziwiła się. – Proszę mi pokazać. Och,
mój Boże, ma pan rację. Niech pan będzie tak dobry i pożycz
mi coś do pisania.

Gdy zdejmowała rękawiczki, a potem pisała, nie przesta-
wała mówić:

– To do jednego kupca w mieście, pewnie by się ze mnie
śmiał. Teraz chyba jest dobrze?

– Tak, teraz jest dobrze.

– A pan ciągle tutaj? – zapytała, wciąż siedząc na krześle.
– Co roku tu pana spotykam.

Rolandsen dobrze wiedział, co robi, nie ruszając się z tej
stacji i nie starając o lepszą posadę. Coś go tu musiało trzy-
mać przez tyle lat.

– Gdzieś trzeba przecież być – powiedział.

– Mógłby się pan przenieść do Rosengaard. To chyba trochę lepsze miejsce?

Na jej policzkach pojawił się przy tym leciutki rumieniec, zapragnęła widocznie, żeby te słowa nie zostały wypowiedziane.

– Takiej dużej stacji by mi nie dano.

– Tak, jest pan na to chyba jeszcze za młody.

Uśmiechnął się ledwo dostrzegalnie.

– To miło, że pani myśli, iż powód jest właśnie taki.

– Jest nas tam trochę więcej, byłoby miło, gdyby pan się do nas przeniósł. I doktorostwo mieszkający w sąsiedztwie, i buchalter, wszyscy subiekci. Zawsze też znajdzie się jakiś niezwykły szyper lub inny marynarz zejdzie na ląd.

Pewnie kapitan Henriksen z żeglugi przybrzeżnej, pomyślał Rolandsen.

Czemu tak naprawdę miałoby służyć aż tyle łaskawości? Czy nagle dzisiaj Rolandsen stał się innym człowiekiem niż był wczoraj? Wiedział przecież, że jest kompletnie beznadziejny w tym swoim bezsensownym zadurzeniu i chyba nie było tu nic więcej do dodania. Odchodząc, podała mu rękę, na którą nie włożyła przedtem rękawiczki. Kiedy schodziła po schodach, słychać było szelest jedwabiu.

Rolandsen zaś usiadł przy stole zgarbiony i wyczerpany, i nadał telegramy. Pierś rozsadzało mu mnóstwo cudownych uczuć. Wciąż trwało w nim wspomnienie ciepła jej aksamitnej dłoni. Prawdę mówiąc z telegrafistą nie było wcale tak źle, a mógłby mieć więcej pieniędzy z odkryć, gdyby dostał skądś te trzysta talarów. Był niczym zbankrutowany milioner. Ale pewnego dnia znajdzie wyjście.

Przyszła pastorowa, żeby nadać depeszę do ojca. Rolandsen był ożywiony po poprzedniej wizycie, nie czuł się już niedołągą, mógł się chyba nawet równać z różnymi wielkimi panami. Porozmawiał trochę z panią pastorową, wygłosił parę ogólnikowych frazesów. Również ona została dłużej, niż to konieczne i zapraszała go na plebanię.

Wieczorem ponownie spotkał pastorową, na drodze w pobliżu stacji, i ona nie poszła po prostu dalej, lecz przystanęła, by zamienić kilka słów. Widocznie tak chciała, skoro przystanęła.

– Podobno gra pan na gitarze – zagadnęła.

– Owszem. Proszę chwileczkę zaczekać, to się pani sama przekona, jaki jestem zdolny.

I poszedł po gitarę.

Pastorowa czekała. Widocznie tak chce, skoro czeka.

Rolandsen śpiewał jej coś o ukochanej i wiernym przyjacielu, pioseneczki takie sobie, ale głosem dysponował wielkim i pięknym. Telegrafista miał swoje wyrachowanie, zatrzymując panią na środku drogi, mogło się przecież zdarzyć, że o tej porze ktoś będzie tu spacerował. Tak już bywało. A gdyby pani miała mało czasu, to pewno już by sobie poszła. Tymczasem znowu zaczęli rozmawiać i zeszło im dość długo. Rolandsen mówił zupełnie inaczej niż jej mąż, pastor, jego słowa brzmiały tak, jakby pochodziły z całkiem innej części świata, a gdy zarzucił ją potokiem swoich najwspanialszych powiedzeń, jej oczy zrobiły się okrągłe jak u zasłuchanej młodej panienci.

– Niech Bóg pana prowadzi! – powiedziała przy pożegnaniu.

– Tak, Bóg mnie prowadzi – odparł.

Zdziwiła się.

– Jest pan tego pewien? Jakim sposobem?

Ma powody tak sądzić. Przecież Bóg opiekuje się wszelkim stworzeniem; to chyba nic wielkiego być Bogiem i panem zwierząt czy gór. Dopiero my, ludzie, czynimy go naprawdę tym, kim jest. Czemuż więc nie miałby nas prowadzić?

Wygłosiwszy tę wspaniałą tyradę, Rolandsen sprawiał wrażenie zadowolonego. Pani pastorowa przez całą drogę nie przestawała o nim myśleć. Ho, ho, nie bez przyczyny głowa, którą on dźwiga na ramionach, dokonała tak wielkiego wynalazku.

Nareszcie przystano koniak. Rolandsen osobiście odebrał baryłkę z przystani i wcale nie krążył bocznymi drogami z tym ciężarem, ale dźwigał go pod swoją wielką pachą w biały dzień. Takie dzielne było jego serce. No i nastał czas pocieszenia po wszelkich przeciwnościach losu. Bywały noce, gdy

widywano go wszędzie, krążył po drogach całej okolicy, oczyszczał je i czynił niedostępnymi dla przyjezdnych rybaków, którzy czuli się w prawie zaczepiać miejscowe panny.

Pewnej niedzieli do kościoła przyszła obca załoga, wszyscy jak jeden porządnie podpici. Po nabożeństwie włóczyli się po wsi, jakby nie zamierzali wracać na swój kuter, mieli wódkę i nieustannie popijali, stawali się coraz bardziej rozbawieni i zaczepiali przechodniów. Wyszedł do nich na drogę pastor i upominał ich, ale niczego nie wskórał; później przyszedł lensman w czapce ze złotym otokiem. Kilku tamtych na jego widok wróciło na swój pokład, trzech jednak, między nimi olbrzym Ulrik, nie chcieli się ugiąć.

Niech każdy wie, że są na łądzie, wykrzykiwali, i że panny należą do nich. Jest z nimi Ulrik, a Ulrika znają wszyscy, i na Lofotach, i w Finmarken. Niech no który podejdzie!

Zebrało się wielu mieszkańców wsi, stali przy drodze albo kryli się w lesie, między drzewami, jak komu starczało odwagi, i patrzyli podnieceni, a olbrzym Ulrik miotał się, szukając przeciwnika.

– Jeszcze raz was proszę, byście wrócili na pokład – mówi lensman. – Bo jak nie, będę zmuszony inaczej z wami gadać.

– To wy wracajcie do domu razem z tą swoją czapką! – odkrzykuje Ulrik.

Lensman pomyślał, że trzeba wziąć jakichś ludzi do pomocy, pojmać awanturnika i związać liną.

– Masz mi być posłuszny, kiedy noszę urzędową czapkę – zwraca się do Ulrika.

Na to wszyscy trzech kamracy zaczęli się tak śmiać, że aż chwyciły ich bóle i musieli trzymać się za brzuchy. Jakiś zuchwwały pomocnik rybacki postanowił przejść obok nich, ale tak dostał w czaszkę, że się zatoczył i krew pociekła mu z nosa.

– No, kto następny? – darł się Ulrik.

– Dawać powróż! – wrzasnął lensman widząc krew. – Niech ktoś leci po linę, trzeba go związać.

– Ilu was tam jest? – dopytywał się Ulrik niepokonany i trzech obcy znowu zaczęli się skręcać ze śmiechu.

W tym momencie na drodze ukazał się wielki Rolandsen, szedł wolno, jakby płynął, z oczyma utkwionymi w jeden punkt. Odbywał swoją zwykłą przechadzkę. Pozdrowił lensmana i przystanął.

– To Rolandsen! – wrzasnął Ulrik. – Chcecie zobaczyć Rolandsena, chłopaki?

– Kompletnie się wściekł – wyjaśnił lensman. – Przed chwilą pobił jednego z naszych do krwi. Trzeba go związać powrozem.

– Powrozem?

Lensman skinął głową:

– Dłużej tego nie ścierpię.

– Ależ to bez sensu – zaprotestował Rolandsen. – Na co panu powróz? Proszę pozwolić, że ja się nim trochę zajmę.

Ulrik podszedł bliżej, z przesadną uprzejmością ukłonił się Rolandsenowi, po czym znieacka wymierzył mu potężny cios. Poczul widocznie, że dotknął czegoś twardego i masywnego, cofnął się więc, ale nie przestawał wrzeszczeć:

– Witaj, witaj telegrafisto Rolandsenie! Pozdrawiam cię po nazwisku i ze wszystkimi tytułami, żebyś wiedział, kim jesteś!

Potem nic się już nie działo. Ale Rolandsen w żadnym razie nie chciał stracić okazji do bójki, irytowało go tylko, że gniew ogarnia go tak okropnie wolno i nie oddał natychmiast po pierwszym ciosie. Musiał zacząć odpowiadać obcemu na złośliwe przycinki, żeby tamtemu nie przeszło. Przekrzykiwali się więc pijackim bełkotem i przechwalali jeden przez drugiego. Kiedy jeden wołał: – Podejdź no tu, to cię tak noliwię, że popamiętasz – drugi odpowiadał: – To ty się zbliż, najwyższy czas, żebym cię stłukł na kwaśne jabłko.

Stłoczeni gapie przytakiwali, uważali, że i jeden, i drugi dobrze gada. Lensman dostrzegał, że telegrafistę ogarnia coraz większa wściekłość, a także zadowolenie, bo uśmiecha się, wykrzykując przechwałki.

W końcu Ulrik zdzielił go w nos, co Rolandsena wprowadziło w zachwyty, zamachnął się, złapał tamtego za bluzę. Ale niewiele mu z tego przyszło, bluza nie wytrzymała, po co zresztą trzymać przeciwnika za bluzę? Podskakując okrążył

więc tamtego, szczerzył przy tym zęby z zadowolenia. Nareszcie zaczyna się bójka.

Ulrik próbował trafić go w głowę, w ten sposób Rolandsen poznał specjalność przeciwnika. On sam natomiast był mistrzem w czym innym: z rozmachem wymierzał mianowicie potężny cios otwartą dłonią w szczękę, przy tym należało trafić w dolną szczękę i trochę z boku. Po takim uderzeniu głowa ulega straszliwemu wstrząsowi, wszystko zaczyna wirować i człowiek wali się na ziemię. Ale ani nic się nie łamie, ani krew się nie leje, co najwyżej trochę z nosa i z ust. Przez dłuższy czas przeciwnik nie rusza się jednak z miejsca.

Nagle olbrzym Ulrik został trafiony i potoczył się daleko, aż na skraj drogi. Nogi mu się skrzyżowały, a potem ugięły się pod nim, jakby życie z nich uszło, i stracił równowagę. Rolandsen tymczasem, który doskonale znał język zabijaków, zawołał:

– Dawać mi tu drugiego! – Czuł się wesół jak rzadko kiedy i nie zauważył nawet, że koszulę ma przy szyi rozdartą.

Następnymi mogli być dwaj koleżkowie Ulrika, którzy teraz stali jak porażeni, i wcale się już nie trzymali za brzuchy ze śmiechu.

– Z was to przecież dzieciaki! – krzyczał do nich Rolandsen. – Trochę bym tylko z wami pobaraszkował!

Lensman starał się przemówić obcym do rozsądku, mówił, że powinni podnieść swojego kamrata i pomóc mu wrócić na pokład kutra.

– Muszę panu podziękować – zwrócił się do Rolandsena.

Kiedy jednak telegrafista zobaczył, że trzech obcy oddalają się z wolna, wcale się nie ucieszył. W ostatniej chwili zawołał za nimi:

– A przyjdźcie znowu jutro wieczór. Wybijcie szybę na stacji, to zrozumieć. Tfu, z was to naprawdę dzieciaki!

Jak zwykle robił mnóstwo zamieszania z powodu tego, co się stało. Gadaniu i przechwałkom nie było końca. Ale widzowie zaczynali się rozchodzić. Nagle jakaś dama podchodzi do Rolandsena, patrzy na niego roziskrzonymi oczyma i podaje mu rękę. To żona pastora. Ona też była świadkiem wydarzeń.

– To wyglądało naprawdę wspaniale – powiedziała. I zapewniła, że zapamięta to sobie.

Spostrzegła, że telegrafista ma rozpiętą koszulę. Słońce opaliło szyję na brązowo, poniżej zaś skóra jest obnażona i biała.

Rolandsen przytrzymuje rozdartą koszulę i kłania się. W żadnym razie nie ma nic przeciwko temu, że pastorowa na oczach wszystkich okazuje mu zainteresowanie, zwycięzca w bójce puszy się, uznaje, że stać go na to, by życzliwie przemawiać do tego dziecka. Biedactwo, jakie to nosi zniszczone buty, nie wygląda też na to, by o nie specjalnie dbała.

– Nie jestem godny, by patrzyły na mnie takie oczy – powiedział.

Słowa te wywołały rumieniec na jej twarzy.

Potem zapytał:

– Pani z pewnością tęskni za miastem?

– Nie, skądże – zaprotestowała. – Tutaj też jest dobrze. Proszę pana, nie zechciałby pan towarzyszyć mi do domu i zostać u nas trochę?

Rolandsen dziękuje, ale nie może.

– Praca, widzi pani, piątek i świątek... W każdym razie dziękuję pani – powtarza. – Jeśli czegoś pastorowi zazdrozczę, to właśnie pani.

– Co...?

– Zazdrozczę mu pani, grzecznie, ale stanowczo.

No i zrobił to. Trzeba by chyba długo szukać drugiego, kto by tak jak on umiał rozsiewać wokół siebie radość.

– Żartowniś z pana – powiedziała, ochłonawszy z wrażenia.

Rolandsen w drodze do domu myślał, że w sumie to miał dzisiaj dobry dzień. W oszołomieniu i w zwycięskim nastroju, zaczął się zastanawiać, dlaczego to młoda pastorowa tak często okazuje mu zainteresowanie. Stał się chytry, stał się przebiegły: przecież pastorowa mogłaby odprawić pannę van Loos i uwolnić go z tych pęt. Nie może tak po prostu tego zażądać, nie, ale są inne sposoby. Kto wie, może pastorowa zechce wyświadczyć mu tę przysługę, skoro tak się zaprzyjaźnili?

VIII

Mieszkańców plebanii zbudził nocą śpiew. Nigdy przedtem się nic takiego nie przytrafiło. Śpiew dochodzi z dziedzińca, słońce świeci nad ziemią, mewy się pobudziły, jest trzecia nad ranem.

– Wydaje mi się, że słyszę śpiew – mówi pastor w stronę pokoju żony.

– To tutaj, pod moim oknem – odpowiada pani.

Nasłuchiwała. Dobrze rozpoznawała głos szalonego Rolandsena i słyszała dźwięk jego gitary, jest doprawdy trochę zanadto zuchwały, wszak śpiewa teraz o uroczej swej dziewczynie, i to akurat do niej, pod jej oknem. Pastorowej zrobiło się gorąco ze wzburzenia.

Wszedł pastor i wyjrzał przez okno.

– To telegrafista Rolandsen, jeśli dobrze widzę – powiedział, marszcząc czoło. – Niedawno dostał pół baryłki koniaku. Co za wstyd z tym człowiekiem.

Pani jednak nie chce widzieć tego drobnego wydarzenia w aż tak czarnych barwach. Ów niezwykły telegrafista potrafi się bić niczym tragarz, i śpiewać jak natchniony. Wprowadzał tak wiele urozmaicenia w ich pospolity los.

– To ma chyba być serenada – powiedziała ze śmiechem.

– Której ty oczywiście nie pochwalasz – rzekł pastor. – No właśnie, co ty o tym myślisz?

On się wciąż musi na coś krzywić! Pastorowa odpowiedziała:

– Szczerze mówiąc, nie widzę w tym nic złego. To po prostu niewinny żart z jego strony!

Dobra pastorowa pomyślała sobie jednak przy tym, że nigdy już nie będzie robić słodkich oczu do Rolandsena, ani zachęcać go do szaleństw.

– A on tam znowu zaczyna nową piosenkę! – wybuchła pastor. Podchodzi do okna i stuka w szybę.

Rolandsen spojrział w górę. Toż to pastor tam stoi, pastor z krwi i kości. Śpiew umilkł. Rolandsen położył uszy po sobie, postął chwilę, po czym jak niepyszny opuścił dziedzińiec.

Pastor powiedział:

– No, to go przegoniłem! – Nie wyglądał na specjalnie zadowolonego, że uzyskał tak wiele samym tylko pojawieniem się. – Ale jutro dostanie ode mnie list – zapewnił. – Już dawno mam go na oku i ten jego gorszący tryb życia.

– Może raczej ja powinnam mu powiedzieć, że nie życzymy sobie jego śpiewów po nocach?

Pastor, nie zwróciwszy najmniejszej uwagi na propozycję żony, ciągnął dalej:

– A następnie pójdę i pogadam z nim!

Zapowiedział to z naciskiem. Jakby miało się stać coś bardzo ważnego, kiedy on pójdzie rozmawiać z Rolandsenem.

Proboszcz wrócił do swego pokoju i leżąc rozmyślał dalej. W żadnym razie nie będzie dłużej oszczędzać tego lekkomyślnego szaleńca, który udaje nie wiadomo kogo i swoim stylem życia wznieca w parafii niepokój. Pastor nie robił różnicy między ludźmi, wysyłał swoje listy do wszystkich, wzbudzając dla siebie powszechny szacunek. Tę ciemną parafię należy nieustannie oświecać. Wciąż jeszcze miał w pamięci siostrę swojego pomocnika, Leviona. Nie stała się lepsza, wobec tego pastor nie mógł dłużej zatrudniać jej brata.

Nieszczęście nawiedziło dom Leviona, umarła mu małżonka, ale już w czasie pogrzebu pastor przyłapał go na niesłychanym postępku. To historia, od której włos jeży się na głowie. Otóż kiedy poczciwy pomocnik już miał odprowadzić swoją żonę do grobu, przypomniał sobie nagle, że obiecał Fredrikowi Mackowi przynieść do fabryki ćwiartkę cielaka. Kondukt miał iść tą samą drogą, a dni nie były już na tyle chłodne, by mięso mogło dłużej leżeć w domu. Zabrał je tedy ze sobą. Pastor dowiedział się o sprawie od Eno-ka, owego pokornego człeczyny z chorobą uszu, i natychmiast wezwał do siebie Leviona.

– Nie mogę cię dłużej trzymać jako pomocnika – oznajmił. – Siostra wyleguje się i grzeszy w twoim domu, a ty jej nie pilnujesz, śpisz po nocach, kiedy obcy chłop zakrada się w twoje progi.

– Niestety – przyznał pomocnik. – Wielekroć nie inaczej bywało.

– Jest też inna sprawa, swoją nieboszczkę żonę odprowadzasz do grobu i taszczysz za trumną zabitego cielaka. Czyż to się godzi?

Ale teraz to już rybak popatrzył na pastora niczego nie pojmując. Uznał, że to chyba przesada. Jego świętej pamięci żona była kobietą zapobiegliwą, gdyby mogła, sama pierwsza by mu przypomniała, żeby zabrał mięso. I tak przecież idziesz tą drogą, powiedziałyby nieboszczka.

– Skoro pastor taki uważający, to nigdy porządnego pomocnika nie dostanie – rzekł Levion.

– To moja rzecz – odparł pastor. – A ty jesteś zwolniony.

Levion spuścił wzrok, przyglądając się swojej zydwestce. Spada na niego wielka hańba, nie da się zaprzeczyć, sąsiedzi będą się cieszyć z jego upadku.

Pastor był wzburzony.

– Na miłość boską – powiedział – czy ty nie możesz nakłonić siostry, żeby wzięła ślub z tym człowiekiem?

– Czy pastor myśli, że nie próbowałem? – tłumaczył się Levion. – Tylko że ona nie ma pewności, kto to jest.

Pastor rozdziawił usta:

– Czego ona nie ma...?

A kiedy nareszcie zrozumiał, załamał ręce. Potem skinął tylko głową i rzekł:

– Jak powiedziałem, wezmę sobie innego pomocnika.

– A kto nim będzie?

– Nie muszę ci mówić. Ale będzie nim Enok.

Levion długo tę sprawę rozważał. Dobrze znał tego chłopca, miał z Enokiem niejedno na pieńku.

– Niech będzie Enok! – powiedział w końcu i poszedł sobie.

A Enok z pewnością sobie poradzi. Jest człowiekiem poważnym, który nigdy nie zadzierał nosa, raczej zwieszał głowę.

wę na piersi, i wszystko robił bardzo starannie. Gadano, że nie jest najlepszym współnikiem na morzu, wiele lat temu przyłapano go podobno na gorącym uczynku, jak ściągał cudze niewody. Ale to pewnie tylko zazdrość i oszczerstwo. Z wyglądu nie był to ani hrabia, ani baron, szpeciła go ta chustka na uszach. Miał poza tym taki zwyczaj, że kiedy spotkał kogoś na drodze, przyciskał palcem najpierw jedną, potem drugą dziurkę nosa i wydmuchiwał. Ale Bóg przecież nie patrzy na powierzchowność, a ten jego ubogi sługa, Enok, miał widać chwalebny zamiar doprowadzić się do porządku przed spotkaniem z ludźmi. Kiedy się witał, pozdrowiał zawsze: „Niech będzie pochwalony!”, zaś gdy odchodził, mówił: „Zostań z Bogiem!”. Wszystko, co czynił, było gruntownie przemyślane. Nawet wielki sztylet u pasa nosił z pełną wdzięczności miną, jak gdyby chciał powiedzieć: niejeden, niestety, nawet noża do krajania nie ma. Ostatniego dnia zbierania ofiar Enok wywołał wielkie poruszenie swoim niezwykłym darem, złożył mianowicie na ołtarzu duży banknot. Czyż naprawdę zarobił ostatnio większą gotówkę? Chyba jednak jakaś wyższa siła musiała coś dorzucić do jego szylingów. W sklepiku Macka nie był nic winien, jego sprzęt rybacki wisiał nieruszany, rodzina była dobrze ubrana. A w domu Enok utrzymywał przykładną karność. Miał syna, wzór dobroci i łagodności. Chłopak popłynął łowić na Lofoty, miał więc prawo powrócić z niebieską kotwicą na ręce, ale on tak nie zrobił. Od najmłodszych lat ojciec uczył go bogobożności i pokory. Zatem to prawda, że błogosławieństwo spływa na tego, kto idzie przez życie cichy i pokornego serca, myślał Enok...

Pastor leżał i rozmyślał, aż nastał ranek. Ten okropny telegrafista Rolandsen zakłócił jego nocny spokój, kapłan wstał już o szóstej. I wtedy okazało się, że żona jeszcze wcześniej ubrała się po kryjomu i wyszła z izby.

Koło południa pastorowa poszła do telegrafisty Rolandse-
na i oznajmiła:

– Nie powinien pan wyśpiewywać po nocach pod naszymi oknami.

– Przyznaję, że zachowałem się jak wariat – odparł. – Spodziewałem się, że spotkam pannę van Loos, ale widocznie ona przeniosła się do innej izby.

– Więc to dla niej pan śpiewał?

– Tak. Taka skromna, zresztą nieudana, piosenka o brzaśku.

– To ja sypiam w tym pokoju – wyjaśniła pastorowa.

– Dawniej, za czasów poprzedniego pastora, sypiała tam gospodyni.

Pastorowa nie powiedziała nic więcej, spojrzenie miała niemądre, oczy pozbawione blasku.

– Tak, tak, dziękuję panu – rzekła odchodząc. – Miło było posłuchać pańskiego śpiewu, ale proszę tego więcej nie robić.

– Przyrzekam pani. Gdybym się był domyślał... Rzecz jasna nigdy bym się nie ośmielił... – Wydawało się, że Rolandsen najchętniej zapadłby się pod ziemię.

Wróciwszy do domu pastorowa oznajmiła:

– Szczerze mówiąc jestem dzisiaj trochę śpiąca.

– Dziwisz się? – zapytał pastor. – Przecież przez tego krzykacza nie mogłaś w nocy spać.

– Będzie najlepiej, jeśli gospodyni wyjedzie – rzekła pani.

– Gospodyni?

– Widzisz, on jest z nią zaręczony. Chyba nie będziemy mieli spokoju po nocach.

– Dzisiaj dostanie ode mnie list.

– Byłoby najprościej, gdyby gospodyni wyjechała.

Żeby się pastor nie wiem jak zastanawiał, to wyjście wcale nie wydawało mu się najprostsze, ponieważ z pewnością będzie oznaczać zwiększone wydatki na nową gospodynię. Poza tym panna van Loos to bardzo dzielna osoba, bez niej żadna rzecz nie leżałaby na swoim miejscu. Pamiętał, jak to było na początku, kiedy żona chciała osobiście prowadzić gospodarstwo; nigdy o tym nie zapomniął.

– Kogo byś chciała na jej miejsce? – zapytał.

Pani odparła:

– Wolę sama wykonywać jej pracę.

Na te słowa pastor zaśmiał się gorzko i westchnął:

– Tak, ładnie by ta praca wyglądała.

Pastorowa zawołała urażona:

– Przecież i tak oka nie mogę z niczego spuścić, przez cały czas muszę zarządzać swoim domem. Nie robi ona nic takiego wielkiego!

Pastor milczał. Nie było sensu ani o nic więcej pytać, ani niczego wyjaśniać, niech Bóg pomoże temu domowi.

– Gospodyni nie może odejść – oznajmił.

Żona miała na sobie buty tak popękane, że żal było pa-trzeć. Zanim więc wyszedł, powiedział:

– Musimy się naprawdę zebrać i jak najszybciej sprawić ci nowe buty.

– Ech, przecież jest lato – odparła.

IX

Ostatnie łodzie rybackie stoją już pod żaglami, połów skończony. W morzu wciąż jeszcze jest pod dostatkiem śledzi, ale ceny, niestety, spadły. Mack kupił wszystkie ryby, jakie były do kupienia, i nikt nie słyszał, żeby miał jakieś kłopoty z wypłatami, tylko niewodniczego ostatniej załogi prosił o kilka dni zwłoki, dopóki nie nadejdą pieniądze, po które depeszował na południe. Ludzie jednak od razu zaczęli przebąkiwać:

– Aha, więc znalazł się w tarapatach!

Lecz kupiec Mack jest silny jak dawniej. Wśród tylu najróżniejszych interesów obiecał jeszcze pastorowej wybudować piekarnię, i proszę, piekarnia będzie, robotnicy się stawili, fundamenty już gotowe. Pastorowa uważa, że to wielka przyjemność patrzeć, jak piekarnia rośnie. Ale teraz trzeba wznosić ściany, a do tego należy zatrudnić innych robotników, już po nich zadeszowano – poinformował Mack.

Tymczasem i piekarz u lensmana wziął się w garść. Czego nie zdziałał list pastora, tego dokonał Mack, kładąc fundamenty.

– Ano, trudno, skoro ludzie chcą chleba, to musi być chleb – powtarzał piekarz.

Ale ludzie dobrze wiedzieli, że biedak miota się bez potrzeby, bo Mack i tak go zdławi.

Rolandsen siedzi w swoim pokoju i komponuje osobliwy plakat, z własnoręcznym podpisem. Następnie czyta go jeszcze kilka razy i uznaje, że wszystko w porządku. Wsuwa więc papier do kieszeni, bierze kapelusz i wychodzi. Rusza drogą w dół, w stronę fabrycznego kantoru Macka.

Rolandsen czekał, aż panna van Loos wyjedzie, ale ona nie wyjechała. Pastorowa wcale jej nie wymówiła. Rolandsen się przeliczył, jeśli miał nadzieję, że pastorowa będzie mu wyświadczać przysługi. W końcu jednak odzyskał rozsądek i powtarzał sobie w myśli: zejdźmy na ziemię, nikogośmy przecież nie uwiedli.

Od pastora natomiast otrzymał Rolandsen list bardzo poważnej treści, pełen napomnień. Telegrafista nie krył się z tym, co mu się przytrafiło, rozповідаł o liście na prawo i lewo. Całkowicie na list zasłużył – zapewniał – i dobrze mu to zrobiło; żaden pastor tak się nim nie zajął od czasu konfirmacji. Posuwał się nawet do twierdzenia, że pastor powinien rozsyłać jak najwięcej takich listów, bo to by radowało wiernych i miało na nich zbawienny wpływ.

Nikt by jednak po Rolandsenie nie poznał, że właśnie ostatnio ktoś go tak ucieszył i podbudował, wprost przeciwnie, zamyślony chodził bardziej niż kiedykolwiek, i widać było, że jakaś nowa myśl nie daje mu spokoju. – Zrobić to, czy nie zrobić? – mamrotał pod nosem. I dopiero dziś, gdy była narzeczona, panna van Loos, przydybała go z samego rana i zaczęła mu obrzydzać życie z powodu tej głupiej serenady na plebanii, opuścił ją wypowiadając nader wieloznaczne słowa: – Zrobię to!

Rolandsen wkracza do kantoru Macka i wita się. Jest absolutnie trzeźwy. Ojciec i syn stoją naprzeciwko siebie przy wysokim pulpicie i piszą. Stary Mack podaje gościowi krzesło, lecz Rolandsen nie siada. Mówi:

– Chcę tylko poinformować, że to ja dokonałem włamania u pana.

Ojciec i syn wytrzeszczają na niego oczy.

– Przychodzę złożyć na siebie donos – dodaje Rolandsen.

– Nie byłoby uczciwie, gdybym nadal milczał, i tak już za długo to wszystko trwa.

– Zostaw nas samych – mówi stary Mack.

Fredrik wychodzi.

Mack pyta:

– Czy pan ma wszystkie klepki w głowie?

– Ja to zrobiłem! – krzyczy Rolandsen. A miał on głos i do śpiewu, i do przemawiania.

Mija chwila. Mack mruga oczyma i zastanawia się.

– A więc pan powiada, że to pan zrobił?

– Tak.

Mack wciąż się zastanawia. Jego bystry umysł rozwiązał już w życiu niejedno zadanie, przywykł też działać szybko.

– Czy jutro potwierdzi pan swoje słowa?

– Tak. Od tej chwili nie zamierzam ukrywać mego przestępstwa. Dostałem list od pastora, to ten list mnie odmienił.

Czy Mack zaczął wierzyć słowom telegrafisty? Czy może rozmawiał z nim jeszcze tylko dla pozorów?

– Kiedy dokonał pan włamania?

Rolandsen wymienił datę.

– Jak pan to zrobił?

Rolandsen punkt po punkcie objaśnił sposób postępowania.

– W szkatułce razem z banknotami leżało kilka dokumentów, widział je pan?

– Tak. Były jakieś papiery.

– Zabrał pan jeden z nich, gdzie pan go ma?

– Nie mam go. Dokument? Nie, nie mam.

– Była to moja polisa na życie.

– Polisa na życie, tak, przypominam sobie. Muszę się przyznać, że ją spaliłem.

– Hm. W takim razie źle pan postąpił, miałem dużo kłopotów z wydostaniem duplikatu.

– Straciłem głowę, nie mogłem zebrać myśli. Proszę, niech mi pan wybaczy to wszystko – mówi Rolandsen.

– Ale tam była jeszcze druga szkatułka, zawierająca wiele tysięcy talarów, czemu jej pan nie wziął?

– Nie znalazłem niczego takiego.

Mack zakończył przesłuchanie. Niezależnie od tego, czy telegrafista popełnił przestępstwo, czy nie, dla Macka był to najwspanialszy włamywacz, jakiego mógł sobie wyobrazić. Oczywiście, nie przemilczy sprawy, przeciwnie, poinformuje o niej każdego, kogo spotka; ostatnia załoga rybacka za-

bierze z sobą nowinę i rozgłosi ją wśród wszystkich kupców wzdłuż całego wybrzeża. Można powiedzieć, że Mack jest uratowany.

– Nie słyszałem nigdy przedtem, że pan chodzi po wsi i... no, że ma pan taki feler – powiada kupiec.

Rolandsen odpowiada na to, że nie, u rybaków, to on nigdy. Chałup nie plądruje. On poszedł wprost na bank.

Tym ujął Macka! Kupiec westchnął tylko z żalem:

– Ale że pan mnie to uczynił!

Rolandsen odparł:

– Musiałem dodać sobie odwagi. Zrobiłem to, niestety, po pijanemu.

Wyznanie Rolandsena nie jest nieprawdopodobne. Ten szalony telegrafista prowadził życie rozrzutne, a żadnych większych dochodów nie posiadał; koniak z Rosengard kosztował sporo.

– I, niestety, muszę się przyznać do czegoś jeszcze – rzekł Rolandsen. – Nie mam pieniędzy, żeby panu oddać.

Mack spojrział obojętnie.

– To bez znaczenia – odparł. – Jedyne, co mnie martwi, to te nikczemne plotki, które ściągnął mi pan na głowę. Wszystkie te docinki pod adresem moim i mojej rodziny.

– Zamierzam coś w tej sprawie zrobić.

– Co takiego?

– Zdejmę z płotu probostwa pański afisz i umieszczę tam moje oświadczenie.

Tego można się było po tym nieulętkłym człowieku spodziewać.

– Nie, wcale tego nie żądam – zachnął się Mack. – I bez tego cała ta sprawa będzie dla pana trudna, nieszczęsny człowieku. Proszę natomiast, żeby pan tutaj napisał pewne oświadczenie.

I Mack wskazał mu pulpit Fredrika.

W chwili, gdy Rolandsen pisał, Mack siedział i kalkulował. Cała ta trudna sprawa obróciła się w końcu na dobre. Będzie to trochę kosztować, ale pieniądze w tym wypadku nie pójdą na marne, skoro nazwisko kupca odzyska w kraju dawny splendor.

Mack przeczytał oświadczenie i rzekł:

– Tak, w porządku. Ja, rzecz jasna, nie zamierzam zrobić z tego żadnego użytku.

– Decyzja należy do pana – odparł Rolandsen.

– Nie będę też niczego rozgłaszał. Wszystko zostanie między nami.

– W takim razie ja sam będę to musiał rozpowiedzieć – rzekł Rolandsen. – W liście pastora powiedziano wyraźnie, że do winy trzeba się przyznać.

Mack otworzył szafę ogniotrwałą i wyjął plik banknotów. Oto ma sposobność pokazania, jakim jest człowiekiem. A nikt zapewne nie wiedział, że na dole w przystani czeka na te właśnie pieniądze pewien szyper, który bez nich nie wyjedzie.

Mack odliczył czterysta talarów i rzekł:

– Nie chciałbym pana urazić, ale zwykłem dotrzymywać słowa. Wyznaczyłem czterysta talarów nagrody, więc należą one do pana.

Rolandsen cofnął się ku drzwiom.

– Tak jest, zasłużyłem sobie na pańską pogardę – rzekł.

– Na moją pogardę! – krzyknął Mack. – Muszę panu powiedzieć jedną rzecz...

– Pańska szlachetność sprawia mi ból. Nie tylko nie chce mnie pan ukarać, ale jeszcze wręcza mi pan nagrodę.

Mack nie miał się tak znowu czym chwalić, że ukradziono mu dwieście talarów. I dopiero teraz, gdy wynagrodził złodzieja podwójną sumą, sprawa nabrała odpowiedniego blasku. Rzekł więc:

– Nie będzie panu teraz lekko, Rolandsen. Straci pan stanowisko. Ja nie odczuję braku tych pieniędzy, a panu w pierwszym okresie mogą się przydać. Proszę, niech się pan zastanowi.

– Nie mogę – upierał się Rolandsen.

Wtedy Mack wziął banknoty i wepchnął mu je do kieszeni.

– W takim razie niech to będzie pożyczka – prosił Rolandsen.

Rycerski król kupców zgodził się na to i odparł:

– Dobrze, niech to będzie pożyczka!

Wiedział jednak doskonale, że pieniędzy nigdy nie zobaczy.

Rolandsen stał zgięty w pół, jakby dźwigał teraz największy ciężar w życiu. Przykro było na to patrzeć.

– A niech pan próbuje wrócić do przyzwoitego życia – Mack starał się dodać mu otuchy. – Jedno potknięcie można przecież naprawić.

Rolandsen podziękował za wszystko z największą pokorą i wyszedł.

– Jestem złodziejem! – poinformował dziewczyny pracujące w fabryce, gdy tylko się do nich zbliżył. I wyznał im wszystko.

Poszedł w dół, do płotu plebanii. Tam zerwał plakat Macka i powiesił swój. Ogłaszał w nim wszem i wobec, że złodziejem jest on, nikt inny. Jutro niedziela, mnóstwo ludzi przejdzie tędy w drodze do kościoła.

X

Rolandsen wydawał się pełen skruchy. Odkąd cała parafia przeczytała jego obwieszczenie, trwał w samotności i unikał spotkania z ludźmi. Wzbudzało to pojednawczy nastrój, widać bowiem, że telegrafista nie zamierzał pogrążyć się w występku bez opamiętania. Tymczasem naprawdę było tak, że Rolandsen nie miał teraz czasu włóczyć się bez celu po drogach, całe dni i noce pracował bez wytchnienia w swoim pokoju. Musiał zapakować do skrzyń mnóstwo małych i dużych lekarskich buteleczek z próbkami, a potem rozesać je na wschód i na zachód. Od rana do wieczora używał też telegrafu. Chodziło o to, by zdążyć ze wszystkim, zanim go wyrzucą ze stacji.

Wiadomość o przestępstwie Rolandsena dotarła oczywiście także i na plebanię, gdzie wszyscy bardzo współczuli pannie van Loos, że ma takiego narzeczonego. Pastor wezwał ją nawet do swego gabinetu i odbył z nią długą, łagodną rozmowę.

Panna van Loos powinna się teraz wyrzec telegrafisty, przekonywał proboszcz, powinna do niego pójść i raz na zawsze z nim zerwać.

Zastała Rolandsena strasznie przygnębionego i zmartwionego, wcale się tym jednak nie wzruszyła.

– Ładnymi rzeczami się zajmujesz – zaczęła.

– Miałem nadzieję, że pani przyjdzie i będę mógł prosić o łaskę – odparł.

– O łaskę? Nie, no wiesz co! Powiem ci teraz, Ove, że przez ciebie to chodzę całkiem jak ogłupiała. Ale nie ścierpię już, byś się jeszcze kiedyś na tej ziemi przyznawał, że

mnie znasz. Nie jestem znajomą żadnych złodziei ani oszustów, lecz idę przez życie własną drogą, drogą uczciwości. Czy ja cię nie przestrzegałam w najlepszej wierze? Ale ty po prostu brnąłeś w występki. Czy to wypada, żeby zaręczony mężczyzna chodził i wdzięczył się do obcych bab? A potem kradniesz ludziom pieniądze i musisz się do tego przyznawać na publicznym płocie. Tak mi wstyd, że chciałabym się zapaść pod ziemię, dosłownie nie wiem, gdzie się podziać. Tylko trzymaj język za zębami, znam cię bardzo dobrze, nie masz nic do powiedzenia, umiesz się tylko przechwalać, ty zatwardziały grzeszniku! Z mojej strony uczucie było szczere, ale teraz stałeś się dla mnie jak zapowietrzony, zhańbiłeś moje życie złodziejstwem. Cokolwiek powiesz, i tak ci się to na nic nie zda. Dzięki Bogu, wszyscy ludzie mówią to samo, że mnie uwiodłeś i wykorzystałeś. A pastor radzi, żebym cię zostawiła i natychmiast wyjechała, chociaż jemu to bardzo nie na rękę. Tylko nie próbuj się teraz maskować, Ove, bo i tak w oczach Boga i ludzi jesteś grzesznikiem i ponurym wyrzutkiem. I jeżeli wciąż zwracam się do ciebie po imieniu, to wcale nic nie znaczy, i nie wyobrażaj sobie, że chciałabym jeszcze wszystko między nami ułożyć. Bo oświadczam, że od tej chwili już się nie znamy, i nie jestem już z panem po imieniu, za nic na świecie. Nikt nie zrobił dla ciebie tyle, co ja, to wiem na pewno. Ale ty zawsze dawałeś się ponieść lekkomyślności, od początku do końca mnie wykorzystywałeś. Chociaż, niestety, ja też nie jestem bez winy, tak, bo cały czas patrzyłam na twoje zachowanie przez palce i dopiero teraz przejrzałam na oczy.

Stoi więc zgnębiony człowiek i nawet się nie może usprawiedliwiać. Takiej mieszaniny wyzwisk jak dzisiaj nigdy jeszcze od niej nie słyszał, widać jego straszne przestępstwo bardzo nią wstrząsnęło. Kiedy skończyła, milczał potulnie.

– Ja się poprawię – bąknął po chwili.

– Ty? Poprawisz się? – roześmiała się z goryczą. – A nawet gdyby, to i tak ci to już nie pomoże. Bo twojego przestępstwa nie da się odwrócić, a ja pochodzę z porządnej rodziny i nie pozwolę, byś bezcześcił moje nazwisko. Mówię tak jak jest. Pojutrze wyjeżdżam pocztową łodzią. I nie chcę

cię spotkać na przystani, nie chcę, żebyś przychodził mnie żegnać, pastor też jest tego zdania. Dzisiaj pożegnam cię na wieki. I dziękuję za dobre chwile, któreśmy razem spędzili. O złych nie chcę pamiętać.

Odwróciła się zdecydowanie i ruszyła ku drzwiom. W progu zatrzymała się jeszcze i powiedziała:

– Możesz natomiast czekać w lesie na górze, nad przystanią, i machać mi ręką. Chociaż wcale mi na tym nie zależy.

– Podaj mi rękę – poprosił.

– Nie, nie zrobię tego.

Rolandsen spuścił głowę.

– I mamy do siebie nie pisać? – zapytał. – Może chociaż parę słów?

– Ja pisać nie będę. Nigdy w życiu! Tyle razy gadałeś, że między nami wszystko skończone, a teraz znowu jestem dobra? Ale teraz możesz sobie kłamać, ile chcesz! I bywaj zdrów, tego jednego ci życzę. Adres jest: Bergen, u mego ojca, gdybyś chciał napisać, ale ja o to nie proszę.

Kiedy Rolandsen wchodził po schodach do swego pokoju, dotarło do niego, że nie jest już zaręczony. Jakie to dziwne, myślał. Jeszcze przed chwilą stałem z nią na dziedzińcu.

To był dla niego ciężki dzień, miał spakować ostatnie próbki, żeby je pojutrze wysłać łodzią pocztową. Potem pozostanie mu tylko zebrać swoje rzeczy i czekać na przeprowadzkę. Wszechpotężny inspektor telegrafu jest już w drodze.

Oczywiście Rolandsen zostanie odprawiony krótko i bez gadania. Jeśli chodzi o służbę, nic mu zarzucić nie można, a kupiec Mack jest na tyle wielki, że z pewnością nie zechce mu szkodzić. Ale sprawiedliwości musi stać się zadość.

Na łąkach wyrosła już trawa, las okrył się liśćmi i na dobre nastaly ciepłe noce. Zatoka leżała pusta, rybacy wyjechali, a kutry Macka wypłynęły łowić śledzie dalej na południu. Nadeszło lato.

Dni były takie piękne, że w niedzielę do kościoła przychodziło mnóstwo ludzi, tłoczyli się na lądzie i na wodzie. Byli tam też szyprowie z Bergen i Haugesund, których łodzie stały wśród przybrzeżnych skał, gdzie suszono dorsze. Po-

wracali tu co roku, starzeli się razem z miejscowymi. Do kościoła przychodzili w paradnych strojach, w barwnych jedwabnych koszulach i z plecionymi z końskiego włosia dewizkami zegarków na brzuchach. Niektórzy mieli nawet złote kolczyki w uszach, ich obecność ożywiała szary tłum parafian.

Opowiadano sobie, że dalej w głębi fiordu doszło do strasznego pożaru lasu – z powodu suszy; lato, niestety, przynosi nie tylko dobro.

Enok objął urząd, poważnie i sumiennie spełniał rolę pomocnika pastora, zawsze w tej swojej chustce na głowie. Młodych bawił jego widok, starszych jednak złościło i obrażało, że wygląda jak jakiś małpiszon; zażądali od pastora, żeby coś z tym zrobił. Czy Enok nie mógłby zatkać sobie uszu wata? Enok wyjaśnił jednak proboszczowi, że nie może zrezygnować z chustki również z powodu bólu w całej głowie. Wyrzucony Levion wyśmiewał się złośliwie z Enoka i dogadywał, że pewnie musi mu być bardzo gorąco w tej chustce w taki ciepły dzień.

Drań Levion od czasu upokorzenia, jakiego doznał, zajmował się wyłącznie prześladowaniem swego następcy. Nie było nocy, żeby wypluwając na połów fląder nie zatrzymał się przy nabrzeżu Enoka i nie sprzątał mu ościeniem ryb sprzed nosa. A gdy potrzebował jakiegoś kawałka drewna do łodzi lub materiału na czerpak, to na pewno wywęszył coś odpowiedniego w lesie Enoka nad morzem. Nigdy nie spuszczał Enoka z oczu...

Wkrótce rozniosło się, że panna van Loos zerwała z narzeczoną z powodu wielkiego wstydu, jaki na nią sprowadził i że jak najprędzej zamierza ona opuścić probostwo. Kupiec Mack musiał pożalować nieszczęsnego telegrafisty, bo postanowił podjąć próbę ratowania narzeczeństwa. Własnoręcznie zdjął wyjaśnienie Rolandsena z płotu i oznajmił, że afisz został wywieszony wbrew jego woli. Następnie udał się na plebanię. Dobrą radą chciał dać wyraz swej życzliwości, słyszał już o porażającym wrażeniu, jakie wywarło takie a nie inne potraktowanie złodzieja, teraz znowu wszyscy mu się kłaniali jak za dawnych dni, co tam, szanowano go je-

szcze bardziej niż przedtem. Doprawdy, tylko jeden taki Mack żyje na wybrzeżu!

Niestety, jego wyprawa na plebanię na nic się nie zdała. Panna van Loos popłakała się ze wzruszenia, że sam Mack się fatygował, nikt jednak nie nakłoni jej, by znowu pogodziła się z Rolandsenem, nigdy w życiu! Mack nabrał przeświadczenia, że ta jej stanowczość to sprawka pastora.

Kiedy wyjeżdżająca gospodyni wyruszyła w dół ku szopom, towarzyszyli jej pastor i pastorowa. Oboje życzyli jej szczęśliwej podróży i czekali, aż wsiądzie do łodzi.

– O, Boże, teraz jestem pewna, że on leży tam na górze w lesie i żałuje! – zawołała panna van Loos, wyjmując chusteczkę do nosa.

Łódź drgnęła, wiosła zaczęły się miarowo poruszać.

– Widzę go! – wrzasnęła gospodyni i uniosła się z miejsca. Wyglądało to, jakby zamierzała wplaw wrócić na brzeg. Opamiętała się jednak, machała tylko z całych sił w stronę lasu. Wkrótce łódź skryła się za przylądkiem.

Rolandsen wracał do domu przez las, jak to zwykł czynić w ostatnim czasie. Przy płocie plebanii wyszedł jednak na drogę i szedł wolno dalej. No to co, wszystkie próbki wysłane, teraz pozostaje mu tylko czekać rezultatu. Ale to już długo nie potrwa. W przypiływie dobrego humoru idąc strzelał palcami.

Zobaczył, że niedaleko, przy skraju drogi siedzi na kamieniu Olga, córka dzwonnika. Co ona tam robi? Rolandsen pomyślał: wraca ze sklepiku i czeka tu na kogoś. Wkrótce na drodze ukazała się Elise Mack. Aha, więc one teraz takie nierozłączki? Panna Mack także usiadła i zdawało się, że będzie czekać. Uczcijmy więc obecność dam pokorą i zapadnijmy się pod ziemię, powiedział sobie Rolandsen. Pospiesznie skrył się w lesie. Suche gałązki trzaskały mu jednak pod stopami, panie mogły usłyszeć jego kroki, uznał zatem, że ucieczka jest błędem i zrezygnował. Chyba trzeba wrócić na drogę, pomyślał. Nie okazujmy zbyt przesadnego uszanowania. I wyszedł z lasu.

Ale takie spotkanie twarzą w twarz z Elise Mack, to jednak niezwykle przeżycie. Serce zaczęło tłuc się ciężko w piersi, fa-

ła gorąca przeniknęła jego ciało i Rolandsen przystanął. Od samego początku niczego przecież nie wskórał, a potem przyszło to wielkie przestępstwo. Znowu wycofał się do lasu. Żeby tylko się jakoś przedostać przez tę porębę, to łamliwy chrust się skończy i zaczyną wrzosy. Kilkoma skokami pokonał porębę i był uratowany. Nagle zatrzymał się. Dlaczego, u licha, skacze? Czyż nie jest Ove Rolandsenem? Zawrócił zdecydowanie i wracał przez porębę, szurając w chruście ile się dało.

Kiedy dotarł do drogi, stwierdził, że panie wciąż siedzą w tym samym miejscu. Rozmawiały, a Elise stuknęła końcem parasolki o ziemię. Rolandsen ponownie zastygł bez ruchu. Nie ma ostrożniejszych ludzi niż śmiałkowie. Przecież jestem złodziejem, myślał. Jak mogę być taki bezczelny i pokazywać się ludziom? Czy mam się może ukłonić i zmusić panie, by mi odpowiedziały choćby tylko skinieniem głowy? Więc raz jeszcze umknął do lasu. Jest okropnym błaznem, który coś sobie jeszcze roi. Czy naprawdę nie ma o czym myśleć? Za parę miesięcy albo coś koło tego będzie bogatym panem. Precz z tym całym zakochaniem! I ruszył w stronę domu.

Ciekawe, czy one jeszcze tam siedzą? Zawrócił i zaczął ostrożnie wyglądać. Do pań dołączył Fredrik i teraz wszyscy troje idą Rolandsenowi naprzeciw. Zaczął więc uciekać z sercem w gardle. Żeby go tylko nie dostrzegli! Zatrzymali się. Rolandsen usłyszał, że Fredrik mówi:

- Ciii, zdaje mi się, że słyszę w lesie czyjeś kroki.
- Ech, nikogo tam nie ma – odpowiada Elise.

Powiedziała to tylko dlatego, że mnie widziała, myśli Rolandsen. Poczul chłód i gorycz. Oczywiście, że jest nikim. Teraz jeszcze nikim. Ale poczekajcie ze dwa miesiące! A kim ona jest? Dziewica Maryja o żelaznym spojrzeniu, córka znanego luteranina, Macka z Rosengaard. Bóg z nią.

Na dachu stacji telegrafu znajdował się blaszany kogucik na metalowym drążku. Rolandsen wrócił do domu, wdrapał się na dach, gołymi rękami wygiął drążek, kogucik odchylił się do tyłu i wyglądało, jakby piał. I niech tak stoi. Kogut powinien pisać.

XI

Teraz nastały dla ludzi leniwe dni. W ciepłe nocnego słońca łowi się ryby tylko na domowe potrzeby. Żyto i ziemniaki rosną, trawa na łąkach faluje, jest pod dostatkiem śleddzi, krowy i kozy dają pełne wiadra mleka, a mimo to nadal są tłuste.

Mack i jego córka Elise wrócili do domu, Fredrik znowu sam rządzi w fabryce i w sklepie. Ale Fredrik rządzi tak sobie, rozpala go miłość do morza i dni na łodzi bardzo go męczą. Kapitan Henriksen z żeglugi przybrzeżnej obiecał znaleźć mu miejsce szypra na jakimś statku, ale wygląda, że raczej nic z tego nie będzie. Chodzi więc o to, czy stary Mack nie mógłby kupić synowi parowca. On nawet od czasu do czasu o tym wspomina, ale Fredrik rozumie, że taki zakup nie będzie możliwy. Fredrik dobrze zna warunki. Sam zresztą ma niewiele z natury marynarza, jest jednym z tych ostrożnych i godnych zaufania młodych ludzi, którzy w codziennym życiu robią tyle, ile zrobić trzeba. Odziedziczył charakter po matce, nie jest, niestety, prawdziwym Mackiem. Ale też i takim należy być, jeśli chce się spokojnie żyć na tym świecie: nie czynić niczego ponad miarę, a przeciwnie, robić wszystkiego odrobinę za mało, a zostanie to policzone jako w sam raz, tyle ile trzeba. Jak, na przykład, skończył Rolandsen, ten szaleniec nie znający umiaru? Ludzie uważają go za zwyczajnego złodzieja, w dodatku został usunięty ze stanowiska. Teraz żyje z wyrzutami sumienia, ubranie coraz bardziej zniszczone i nikt nie chciał mu wynająć nawet lichej izdebki, więc musiał zamieszkać u kalikanta Børrego. W takie to miejsce trafił na koniec Ove Rolandsen. Børre mógłby być na swój sposób dobry, ale jest to najbiedniejszy

człowiek w parafii, u niego w spizarni nie ma nawet śledzi. A ponieważ jego córka, Pernilla, jest istotą słabego zdrowia, więc nikt nie szanuje domu kalikanta. Ktoś lepszy nie powinien tam mieszkać.

Rozeszły się pogłoski, że Rolandsen może byłby zachował posadę, gdyby okazał nieco więcej skruchy przed inspektorem telegrafu. Rolandsen jednak wychodził z założenia, że powinien zostać zwolniony i inspektor nawet nie miał okazji do okazania mu łaski. A stary Mack, który mógłby wystąpić w roli mediatora, wyjechał.

Pastor natomiast nie był z Rolandsena tak całkiem niezadowolony.

– Słyszałem, że pije mniej niż poprzednio – powiedział.
– I uważam, że jego sytuacja nie jest zupełnie beznadziejna. Dowiódł bowiem, że to dzięki listowi, który ode mnie dostał, przyznał się do kradzieży. Doprawdy, bywa, że człowiek może odczuwać radość z powodu swojej działalności.

Nadszedł dzień świętego Jana. Wieczorem na wszystkich wzniesieniach zapalono ognie, wokół nich zbierała się młodzież rybacka, nad okolicą niosła się muzyka harmonii i skrzypiec. Zwyczaj nakazywał, by ogień nie był zbyt wielki, za to powinno się dymić obficie, to ceniono najwyżej. Rzucano więc w płomienie mokry mech oraz gałązki jałowca i dym snuł się gęsty, o delikatnym zapachu. Rolandsen wciąż nie miał tyle przyzwoitości, by trzymać się z daleka, lecz bez żenady uczestniczył w ludowej zabawie, siedział na wysokim wzgórzu, szarpał struny gitary i śpiewał, aż się echo niosło po dolinie. Kiedy później zszedł na dół do ogniska, okazało się, że jest pijany jak bela, popisывał się wygłaszaniem jakichś górnolotnych frazesów. Był taki sam jak dawniej.

Na drodze ukazała się Olga od dzwonnika. Wcale nie miała zamiaru zatrzymać się przy tym ognisku, szła po prostu drogą i chciała je ominąć. Ach, mogłaby pójść inną drogą, Olga jednak była taka młoda, głos harmonii wabił ją nieodparcie. Nozdrza jej drgały, przenikała ją fala szczęścia, – Olga jest zakochana. Wcześniej, za dnia, chodziła do skle-

pu i Fredrik Mack powiedział jej tyle słów, że musiała go zrozumieć, chociaż wyrażał się bardzo oględnie. No i teraz może się zdarzyć, że i on wyjdzie na przechadzkę o tej wieczornej godzinie!

Spotkała pastorową, szły dalej razem i rozmawiały właśnie o Fredriku Macku. Był przecież panem okolicy, nawet serce pani pastorowej skłaniało się ku niemu, był taki urodziwy i taki ostrożny, i mocno stąpał po ziemi. W końcu pani zauważyła, że Olga idzie obok bardzo zażenowana, więc zapytała:

– Taka jesteś milcząca, moje dziecko. Chyba nie zakochałaś się w młodym panu Macku?

– Owszem – szepnęła Olga i wybuchnęła płaczem.

Pastorowa przystanęła.

– Ech, Olga, Olga! A czy on też o tobie myśli?

– Sądzę, że tak.

Wtedy oczy pani zastygły i znowu zrobiły się niemądre, puste wpatrywały się przed siebie.

– No tak – rzekła po chwili z uśmiechem. – Niech cię Bóg błogosławi. Zobaczysz, wszystko będzie dobrze! – I zaczęła okazywać dziewczynie zdwojoną życzliwość.

Kiedy panie doszły do plebanii, pastor w wielkim wzburzeniu biegał tam i z powrotem.

– Las się pali! – krzyczał. – Zobaczyłem ogień z mojego okna!

Pospiesznie wnosił siekiery i łopaty, zwoływał ludzi, kazał wyprowadzać łódź z szopy. Palił się las Enoka.

Jeszcze przed pastorem i jego ludźmi zjawił się tam usunięty pomocnik, Levion. Wracał z ryb i jak zawsze zatrzymał się niedaleko lasu Enoka, żeby ugotować sobie coś do jedzenia.

Jest już w drodze do domu, gdy nagle dostrzega w lesie ogień, który bardzo szybko się rozprzestrzenia. Kiwa głową, bo wie, co taki ogień oznacza. I kiedy w końcu widzi ludzi biegnących koło szopy pastora, rozumie, że oto nadchodzi pomoc. Natychmiast odwraca łódź i wiosłuje z powrotem, by być na miejscu jako pierwszy.

To doprawdy bardzo ładna cecha Leviona, że chciał zapomnieć o niezgodzie i spieszył na pomoc wrogowi.

Przybija do brzegu i wchodzi w las, słyszy trzask ognia. Posuwa się wolno, przy każdym kroku rozgląda uważnie. Po chwili widzi, że w wielkim pośpiechu zbliża się Enok. Niestłychane napięcie ogarnia Leviona, chowa się pod skalnym nawisem i stamtąd śledzi wydarzenia. Enok pędzi prosto, jakby biegł do wyznaczonego celu, nie patrzy ani w lewo, ani w prawo, po prostu gna przed siebie. Czyżby dostrzegł swego przeciwnika i teraz chce go schwytać? Kiedy był już bardzo blisko, Levion wydał okrzyk. Enok podskoczył i zatrzymał się. Zdezorientowany uśmiechnął się i powiada:

– Tu się, niestety, pali. Nieszczęście.

Levion zebrał się na odwagę i odparł:

– Widocznie palec Boży.

Enok zmarszczył czoło.

– A ty po co tu stoisz? – zapytał.

Powstrzymywany gniew Leviona wybucha:

– No, teraz to ci będzie gorąco w tej twojej chustce! – woła.

– Idź swoją drogą – odpowiada Enok. – To pewnie ty podłożyłeś ogień.

Levion jednak był głuchy i ślepy na jego słowa. Enok sprawia wrażenie, że będzie próbował wedrzeć się pod skałę, tam, gdzie stoi Levion.

– Ani się waż! – wrzeszczy tamten. – Już ci kiedyś ukręciłem jedno ucho, to mogę ukręcić i drugie!

– Wynoś się stąd, powiadam – powtarza Enok i naciera na przeciwnika.

Levion zazgrzytał zębami z wściekłości i krzyknął:

– Pamiętasz ten dzień na fiordzie? Zakradłeś się, żeby ściągnąć moje liny. Wtedy ukręciłem ci ucho.

No i wydało się, dlaczego Enok zawsze nosi tę chustkę na głowie. Bo ma po prostu tylko jedno ucho. Obaj sąsiedzi trzymali się nawzajem w szachu, i obaj mieli powody, żeby dotychczas milczeć w tej sprawie.

– Jesteś zwyczajny zbój! – krzyczy Enok.

Słysząc już jak z chlupotem i szumem podpływa do brzegu łódź pastora, od drugiej strony dochodzą trzaski zbliżającego się ognia. Enok miotał się, chcąc przegonić Leviona, w końcu wyjął nóż, bo przecież miał teraz ten wspaniały nóż do krajania. Levion przewraca oczami i krzyczy:

– Nie waż mi się machać tym nożem! Ludzie zaraz tu będą, już się zbliżają!

Enok rad nierad schował nóż.

– Dlaczegoś się uparł stać właśnie tutaj? – krzyczy. – Wy-noś się!

– A co ty robisz właśnie tutaj?

– Nic ci do tego! Mam sprawę, schowałem tu pewną rzecz. A teraz ten ogień...

Levion mimo wszystko nie chciał się cofnąć nawet o piędź. Nadpływa pastor, słysząc już głosy od strony brzegu, Levion jednak nie musi się już przejmować pastorem.

Łódź przybiła do brzegu, ludzie wyskoczyli z siekierami i łopatami, pastor przywitał się, powiedział nawet parę słów:

– Te świętojańskie ognie to godny pożalowania zwyczaj, mój Enoku. Skry sypią się na wszystkie strony. Gdzie mamy zaczynać?

Enok patrzył przed siebie jak ogłupiały. Pastor chwycił go i ciągnął za sobą, pomocnik nie mógł się więc do końca rozmówić z Levionem.

– Skąd wieje wiatr? – dopytywał się pastor. – Chodź i pokaż nam, gdzie mamy kopać rów.

Enok jednak szarpał się i wiercił jak na rozżarzonych węglach, za nic nie chciał spuścić Leviona z oczu i odpowiadał pastorowi jak nieprzytomny.

– Nie pozwól, żeby nieszczęście cię przytłoczyło – perswadował pastor. – Bądź mężny! Ogień trzeba ugasić! – I znowu chwycił Enoka pod ramię.

Niektórzy z przybyłych ruszyli na spotkanie ognia i sami zaczęli wytyczać rów. Levion wciąż stał w tym samym miejscu i dyszał; kopnął jakiś płaski kamień, leżący pod skałą. Chyba Enok tutaj niczego nie schował, łże po prostu, pomyślał i pochylił się z uwagą. Kiedy kopnął jeszcze raz, żeby odsunąć ziemię, która leżała pod kamieniem, oczom jego ukazała się chustka.

Chustka należała do Enoka, używał jej jakiś czas temu jako przepaski na uszy. Levion pociągnął, okazało się, że w chustce jest jakiś pakunek. Rozwinął i zobaczył pieniądze, mnóstwo pieniędzy, w banknotach. A między nimi duży, biały dokument.

Levion zapłonął ciekawością. To ukradzione pieniądze, pomyślał. Rozłożył papier i zaczął sylabizować.

Gdy Enok to zobaczył, wydał z siebie ochryply krzyk, wyrwał się pastorowi i popędził do Leviona z nożem w ręce.

– Enok! Enok! – wrzeszczał pastor, próbując go zatrzymać.

– To jest złodziej! – wołał Levion.

Pastor się przestraszył. Enok jest pewnie tak wstrząśnięty pożarem, że stracił panowanie nad sobą.

– Schowaj nóż! – powiedział.

A Levion powtarzał swoje:

– Tu mamy tego, który włamał się do Macka.

– Co ty gadasz? – pytał pastor, niczego nie pojmując.

Enok dopada swego przeciwnika i chce wyrwać mu zawiątko.

– Oddam tylko pastorowi! – drze się Levion. – Niech pastor sam zobaczy, jakiego ma pomocnika!

Enok opada pod jakieś drzewo. Twarz mu poszarzała. Pastor nic nie rozumie, ani skąd się wzięły te banknoty, ani co to za chustka i dokument.

– Znalazłem to tam – powtarzał Levion roztrzęsiony. – On ukrył to wszystko pod kamieniem. A na papierze jest nazwisko Macka.

Pastor zaczął czytać, coraz bardziej jednak wszystko mu się mieszało, spojrzał wreszcie na Enoka i powiedział:

– To jest ta polisa ubezpieczeniowa, która zginęła Mackowi, prawda?

– I pieniądze, które też Mackowi zginęły – podpowiadał Levion.

Enok wyprostował się.

– Ty to wszystko podłożyłeś – syknął.

Łoskot pożaru był coraz bliższy, robiło się okropnie gorąco, ale trzech mężczyzn wciąż stali nieporuszeni.

– Na oczy tego nie widziałem – powtórzył Enok. – Widocznie Levion tak mi dobrze życzy.

Levion nie pozostawał dłużny:

– Tu jest dwieście talarów. A czy ja kiedykolwiek miałem dwieście talarów? A ta chustka to nie jest twoja? Nie nosiłeś jej czasem na uszach?

– No właśnie, nie nosiłeś? – pastor powtórzył pytanie.

Enok milczał.

Pastor liczył pieniądze.

– Tu nie ma całych dwustu talarów – rzekł.

– Część musiał wydać – stwierdził Levion.

Enok dyszał ciężko.

– O niczym nie wiem – powtarzał z uporem. – Ale miej się na baczności, Levion, bo ja to sobie zapamiętam!

Pastorowi kręciło się w głowie. Jeśli złodziejem jest Enok, to telegrafista Rolandsen zakpił sobie z jego listu z napomnieniami. Ale dlaczego to zrobił?

– W każdym razie to jest polisa Macka – rzekł po chwili.

– A skoro tak, to trzeba o tym zameldować. Wiosłuj do domu, Levion.

Enok był do niczego, siedział po prostu i tępo wpatrywał się przed siebie.

– Tak – powiedział w końcu. – Zameldujmy o sprawie, będę z tego bardzo zadowolony.

Pastor zapytał przygnębiony:

– Tak? Ty też będziesz zadowolony? – I mimo woli zamknął oczy, wstrząśnięty tym wszystkim.

Ten wstrętny Enok, chciwość go zgubiła. Starannie ukrył dokument asekuracyjny, którego treści nie rozumiał. Widział mnóstwo pieczęci, wiedział, że papier opiewa na dużą sumę, myślał więc pewnie, że kiedyś później wyjedzie i będzie mógł go spieniężyć; nie zdobył się na to, żeby go wyrzucić.

Pastor odwrócił się i przyglądał pożarowi. Ludzie w lesie pracowali, padały drzewa, widać już było wyraźnie szeroki rów. Przyszło wielu ratowników.

– Ogień sam zgaśnie – powiedział Levion.

– Tak myślisz?

– Dojdzie do brzozowego zagajnika i zgaśnie.

I łódź z trzema mężczyznami na pokładzie popłynęła w głąb zatoki, do zagrody lensmana.

XII

Kiedy pastor wrócił wieczorem do domu, zapłakał. Tyle strasznych grzechów pleni się dokoła. Był przybity i zbolaty, jego żona znowu nie dostanie trzewików, których tak bardzo potrzebuje. Wielką ofiarę, którą Enok złożył na ołtarzu Pana, trzeba będzie zwrócić, bo pieniądze są kradzione. No i pastor będzie goły jak przedtem.

Zaraz poszedł na górę do żony. Ale już w drzwiach ogarnęła go rozpacz i zniechęcenie. Żona szyła. Dookoła niej na podłodze poniewierały się różne części garderoby, widelec i ścierka do zmywania naczyń leżały na łóżku razem z gazetami i szydełkową robótką. Ranny pantofel pastora znalazł się na stole. Na komodzie sterczała gałązka brzozy z uschlými liśćmi, a obok duży szary kamień.

Pastor zabrał się swoim zwyczajem do zbierania porzucanych przedmiotów i układania wszystkiego na swoim miejscu.

– Nie musisz tego robić – powiedziała pani. – Sama bym zdjęła ten pantofel, jak skończę szycie.

– Ale że też możesz siedzieć i pracować w takim bałaganie!

Pani poczuła się urażona i nie odpowiedziała.

– Co ten kamień tu robi? – zapytał pastor.

– Nic, zupełnie nic. Znalazłam go nad brzegiem, uznałam, że jest bardzo ładny.

Pastor zebrał garść zeschlęgo ziela z politurowanego stolika i zawinął w gazetę.

– Czy to ma do czegoś służyć? – zapytał gniewnie.

– Nie, już nie. To szczaw, miałam zamiar zrobić z niego sałatkę, ale teraz już się zestarzał.

– Leży tu od ponad tygodnia – burknął pastor. – Na politurze zrobiła się od niego plama.

– No więc sam widzisz. Nie powinno się kupować politurowanych mebli, one się naprawdę do niczego nie nadają.

Wtedy pastor wybuchnął złośliwym śmiechem. Pani odrzuciła szycie i wstała.

Dlaczego on nie może jej dać ani chwili spokoju? Zameęcza ją tym swoim brakiem wyrozumiałości. I znowu wywiązała się między nimi okropna i bezowocna sprzeczka, jedna z tych, które od czterech lat powtarzają się regularnie. Pastor przyszedł tutaj, by pokornie prosić żonę o cierpliwość w sprawie butów, ale nie miał możliwości porozmawiania o tym, bo żółć się w nim burzyła. Wszędzie, w całej plebani działo się źle, odkąd panna van Loos wyjechała i pastorkowa sama zarządzała gospodarstwem.

– A skoro już o tym mówimy, to czy nie mogłabyś, na Boga, zastanowić się i trochę oszczędniej gospodarować w kuchni?

– Gospodarować oszczędniej? Ja myślę, że bardzo oszczędzam! Czyżby było gorzej niż przedtem?

– Wczoraj znalazłem mnóstwo jedzenia w kubie na odpadki.

– Byłoby znacznie lepiej, gdybyś nie wścibiał wszędzie nosa.

– A dzisiaj po obiedzie znalazłem wyrzuconą kaszę ze śmietaną.

– Tak, służące tak brzydko wyjadły część kaszy z salaterki, że nie mogłam reszty podać na stół.

– Znalazłem też dużą porcję ryżu.

– Mleko się zwarzyło. A to już chyba nie moja wina.

– Parę dni temu widziałem w kubie ugotowane jajko.

Pani milczała, chociaż i dla tej sprawy znalazłaby usprawiedliwienie.

– Przecież nam się wcale tak dobrze nie powodzi – mówił dalej pastor. – Wiesz, że jajka się kupuje, a któregoś dnia kot dostał omlet.

– To tylko resztką, która została z obiadu. I powiem ci, że jesteś niesprawiedliwy. Powinieneś iść do doktora z tymi napadami złości.

– Widziałem, jak trzymasz kota na rękach i przytrzymujesz mu miseczkę z mlekiem. W dodatku pozwalasz, żeby służące to widziały. Na pewno śmieją się z ciebie za plecami.

– Wcale się nie śmieją, tylko ty masz te swoje humory!

W końcu pastor poszedł do swego gabinetu, a pani miała znowu spokój.

Następnego ranka przy śniadaniu nikt by się już nie domyślił, że pastorowa cierpiała i była smutna. Jakby wiatr zwiały wszelkie zmartwienia, Bogu dzięki, zdawała się w ogóle nie pamiętać o żadnej sprzeczce. Bardzo jej pomagało to pogodne uspokojenie, dzięki niemu mogła znosić ciężkie życie. Pastora bardzo to wzruszało. Naprawdę mógł być przemilczeć te gospodarskie drobiazgi, nowa gospodyni została wynajęta i już pewnie jest w drodze na północ.

– Nadal, niestety, nie będziesz mogła dostać nowych butów – powiedział przy kolacji.

– No trudno – odparła tylko.

– Tę ofiarę, którą dostałem od Enoka, będę musiał zwrócić; on ukradł pieniądze.

– Co ty mówisz!

– Tak. Wyobraź sobie, że to on włamał się do Macka. Wczoraj przyznał się do wszystkiego przed lensmanem. – I pastor opowiedział żonie, co się stało.

– Więc to nie Rolandsen – stwierdziła pani.

– Nie. Ten niewczesny żartowniś! To naprawdę żaloszny człowiek... Ale ty, niestety, musisz jeszcze poczekać na buty.

– A co to szkodzi?

I taka była zawsze. Dobra, skłonna do poświęceń, gotowa znosić wszystko. Jak dziecko. Pastor nigdy nie słyszał, żeby się uskarżała na biedę.

– Żebyś chociaż mogła używać moich – westchnął, a serce mu krwawiło.

Pani roześmiała się serdecznie:

– Tak, a ty moich, ha, ha, ha!

Potrąciła jego talerz tak, że spadł na podłogę i potłukł się na kawałki. Zimny kotlet wpadł pod stół.

– Poczekaj, przyniosę ci inny talerz – zawołała żona i wybiegła.

Żadnego zmartwienia stratą, pomyślał pastor. Nawet cienia namysłu nad tym, co się stało. A przecież taki talerz także kosztuje.

– Tego kotleta też pewnie nie chcesz? – zapytała żona, wracając.

– A co z nim zrobimy?

– Damy kotu.

– Ja nie jestem taki rozrzutny jak ty – burknął na nowo zasępiony.

I doszłoby pewnie znowu do wspaniałej sprzeczki, gdyby pani nie milczała. Ale żadne nie odczuwało już zadowolenia.

W dzień później rozeszły się pogłoski o nowym wydarzeniu: Rolandsen zniknął. Kiedy usłyszał o znalezisku w lesie i o przyznaniu się Enoka, w najwyższej złości zawołał:

– A niech to diabli! Co najmniej o miesiąc za wcześnie!

Kalikant Børre to słyszał. A później wieczorem Rolandsena nie było ani w domu, ani na podwórzu. Łódka kalikanta, która stała w przystani proboszcza, też zniknęła, wraz z wiosłami, wyposażeniem rybackim i wszystkim, co się w niej znajdowało. Mack w Rosengaard został natychmiast poinformowany o tym, kto jest prawdziwym włamywaczem, ale, co wszystkich zdziwiło, jakoś się nie spieszył, żeby osobiście pokierować sprawą. Widocznie stary Mack wiedział, co robi. Nie da się ukryć, telegrafista Rolandsen wyłudził od niego nagrodę, i teraz kupiec będzie pewnie musiał wypłacić ją ponownie, a to akurat nie było mu na rękę. Człowiek tak powszechnie szanowany jak on nie może nagle okazać małostkowości, i to w tak honorowej sprawie. Tymczasem Mack przeżywał kłopoty finansowe. Liczne przedsiębiorstwa wymagały wielkich nakładów, a gotówka, niestety, nie napływała strumieniem. Wielka partia śledzi czekała właśnie u agenta w Bergen, ceny jednak były zbyt niskie, więc agent niczego nie sprzedawał. Mack z utęsknieniem wyczekiwał nadejścia psich dni;* wtedy

*Tak dawniej w Norwegii nazywano okres od 23 lipca do 23 sierpnia. (przyp. tłum.)

bowiem wszelkie połowy się kończą i ceny ryb idą w górę. W dodatku Rosjanie prowadzą wojnę, rolnictwo w tym wielkim kraju jest zaniedbane i ludzie potrzebują śledzi.

Od wielu tygodni Mack nie zaglądał do fabryki. Czyż nie obiecał pastоровej piekarni? Co więc jej teraz odpowie? Fundamenty zostały położone, plany są gotowe, ale żadnych murów nie wznoszono. Plotki na temat Macka ponownie zaczęły krążyć, mówiono, że pewnie będą trudności ze zbudowaniem piekarni. Doszło do tego, że piekarz w obejściu lensmana znowu zaczął pić. Poczł się bezpiecznie, piekarni nie postawi się przecież w ciągu tygodnia, ma więc czas. Pastor dowiedział się o kolejnym upadku tego człowieka i zwrócił się do niego osobiście. Wcale to jednak nie pomogło, piekarz czuł, że nic mu nie zagraża.

Szczerze powiedziawszy pastor, ten niezmordowany pracownik, miał pełne ręce roboty. Choć się nie oszczędzał, załegłości rosły z dnia na dzień. W dodatku utracił teraz jednego pomocnika, najgorliwszego ze wszystkich, Enoka. Już w kilka dni po jego upadku do pastora przyszedł znowu Levion, by mu oznajmić, że gotów jest objąć dawne stanowisko.

– Pastor zdążył się chyba przekonać, że nie ma równego mi pomocnika.

– Jesteś podejrzewany o podłożenie ognia w lesie.

– Każdy złodziej i łajdak łże – wybuchnął Levion.

– Możliwe, ale ty i tak nie zostaniesz moim pomocnikiem.

– A kto nim zostanie tym razem?

– Nikt. Obejdę się bez drugiego pomocnika.

Taki był pastor, stanowczy i nieustępliwy, i sprawiedliwy pod każdym względem. Teraz miał też powody, by karać siebie bez litości. Te wieczne nieporozumienia w domu, liczne kłopoty zawodowe mogły zachwiać jego moralnością i doprowadzić do rezygnacji. Nawiedzały go od czasu do czasu niewybaczalne myśli. Bo co by mu na przykład szkodziło zawrzeć pokój z Levionem, który ze swej strony też mógłby mu się odwdzięczyć? I dalej: Mack z Rosengard obiecał mu pomoc dla najbardziej potrzebujących, no właśnie, pastor jest przecież jednym z biedaków tej parafii, czy nie mógłby się

zwrócić do Macka w imieniu naprawdę potrzebującej rodziny i zatrzymać wsparcia dla siebie? Byłoby na buty dla żony. Pastor sam też potrzebował różnych rzeczy, jakieś książki, trochę filozofii, jałowieje w codziennej harówce, nie rozwija się. A jeszcze ten Rolandsen, pyskata szelma, wmówił jego żonie, i zrobił to bardzo skutecznie, że to ludzie uczynili Boga tym, kim jest. Już pastor postara się przy okazji zatkać mu gębę.

W końcu przyjechał Mack. Przybył jak zawsze, wielki i elegancki. Towarzyszyła mu córka Elise. Natychmiast udał się z wizytą do pastorostwa, by okazać uprzejmość i wyjaśnić, że w żadnym razie nie zamierza uchylać się od spełnienia obietnicy. Pani pastorowa zapytała o piekarnię. Mack wyraził ubolewanie, że nie mógł działać energiczniej, ale to wszystko nie bez powodu. Piekarni chyba nie uda się wybudować w tym roku, mury trzeba wznosić bardzo wolno. Pani wykrzyknęła rozczarowana, ale pastor się właściwie ucieszył.

– Fachowcy mnie o tym poinformowali – wyjaśnił pan Mack. – Musiałem ugiać się wobec konieczności. Podczas roztopów następnej wiosny mury mogłyby się osunąć o kilka cali. Co by się wtedy stało z całym budynkiem?

– No właśnie, co by się wtedy stało? – przytakiwał pastor.

Mack nie był zresztą przygnębiony, w najmniejszym stopniu. Psie dni minęły, wszelkie połowy zostały zakończone i wkrótce potem telegram od agenta powiadomił go, że ceny idą w górę. Mack nie mógł sobie odmówić przyjemności poinformowania o tym pastorostwa. Pastor natomiast mógł mu się zrewanżować wiadomością na temat, gdzie znajduje się Rolandsen. Otóż ukrył się na wyspie, daleko na zachód, na pełnym morzu, zupełnie jak dzikus. Niedawno przyszedł tu pewien chłop z żoną i powiedział o tym pastorowi.

Mack natychmiast wysłał po Rolandsena łódź.

XIII

Tak się złożyło, że zeznania Enoka zaskoczyły Rolandsena. Był teraz wolny, nie miał jednak owych czterystu talarów dla Macka. Wziął więc łódkę kalikanta z wędkami oraz całym sprzętem i w cichą noc pożeglował w morze. Kierował się ku niezamieszkanym wyspom, od których dzieliło go jakieś półtorej mili, częściowo przez otwarte morze. Wiosłował przez całą noc i nad ranem wybrał sobie odpowiednie miejsce. Tam wylądował. Wokół dosłownie roiło się od morskich ptaków.

Rolandsen był głodny, najpierw zamierzał więc nazbierać mewich jaj na śniadanie. Okazało się jednak, że w jajkach są już spore pisklęta. Wybrał się tedy na ryby i z tym poszło mu dużo lepiej. Od tej pory żywił się wyłącznie rybami, całe dni śpiewał, nudził się, panował na wyspie. W razie deszczu chronił się pod niezwykle pięknym skalnym nawisem. Sypiał na porośniętej trawą polance, a słońce nigdy nie zachodziło.

Minęły dwa tygodnie, potem trzy, Rolandsen zrobił się okropnie chudy na tym kiepskim wikcie, ale jego oczy stały się coraz bardziej uparte i zdecydowane, nie zamierzał się poddawać. Bał się tylko tego, że ktoś może się tu zjawić i zburzyć jego spokój. Którejś nocy rzeczywiście podpłynęła do wyspy łódka, siedzieli w niej mężczyzna i kobieta, zbierali ptasi puch. Zamierzali wylądować na wyspie, ale Rolandsen do tego nie dopuścił. Zobaczył ich już z daleka, miał więc czas się rozzłościć, zaczął tak dziwnie wywijać wiosłem kalikanta, że przestraszeni ludzie uciekli co tchu. Rolandsen śmiał się wtedy w duchu, bo ze swoją wychudłą twarzą musiał wyglądać jak diabeł.

Pewnego ranka ptaki hałasowały bardziej niż zwykle i obudziły Rolandsena, choć było jeszcze bardzo wcześnie, prawie noc. Zobaczył zbliżającą się łódź, podpłynęła już bardzo blisko brzegu. Najbardziej godne pożałowania było u Rolandsena to, że potrzebował tak dużo czasu, by się rozłościć. Zbliżała się teraz ta łódź, co było mu w najwyższym stopniu nie na rękę. Ale zanim naprawdę się wściekł, łódź zdążyła przybić do brzegu, w przeciwnym razie coś by z nią zrobił, choćby przegonił ludzi, ciskając w nich kamieniami.

Dwaj robotnicy z fabryki Macka, ojciec i syn, wyszli na ląd, i stary zaczął się witać, dzień dobry, dzień dobry.

– Wcale nie jestem zadowolony z tego, że cię widzę – rzekł Rolandsen. – I zaraz ci coś zrobię.

– Co by to miało być? – zapytał stary, spoglądając niepewnie na syna.

– Mogę cię, naturalnie, udusić. Jak ci się podoba moja propozycja?

– Przy płynęliśmy tu do pana z polecenia samego Macka.

– To oczywiście, że przy płynęliście z polecenia samego Macka. Ja wiem nawet, czego on ode mnie chce.

Teraz do rozmowy wtrącił się też młody i oznajmił, że kalikant chce dostać z powrotem swoją łódź i wędki.

Rolandsen zawołał rozgoryczony:

– On? Czy ten człowiek zwariował? To co mi w takim razie zostanie? Przecież mieszkam na opuszczonej wyspie! Muszę mieć łódź, żeby się jakoś dostać do ludzi. Muszę łowić ryby na wędki, żeby jakoś przeżyć. Pozdrówcie go ode mnie.

– I nowy telegrafista kazał powiedzieć, że ważne telegramy czekają na pana.

Rolandsen podskoczył.

– Co? Już?

Zapytał jeszcze o parę spraw, otrzymał odpowiedź i nie czynił już żadnych przeszkód, razem z posłańcami ruszył w drogę powrotną. Młody popłynął łodzią kalikanta, a Rolandsen zabrał się ze starym.

Na przedzie łodzi stał koszyk, jego widok wzbudził w Rolandsenie zuchwałą nadzieję, że być może wewnątrz znajduje się coś do jedzenia. Chciał zapytać: – Macie jakiś pro-

wiant? – powstrzymała go przed tym jedynie wyniosłość, starał się więc zagadać głód.

– W jaki sposób Mack dowiedział się o tym, że tu jestem?

– Ludzie gadali. Jakiś chłop z babą widzieli tu pana w nocy. Bardzo się wystraszyli.

– No, a czego tu szukali... Wyobraź sobie, że odkryłem w pobliżu wyspy nowe łowisko. I teraz je opuszczam.

– Jak długo zamierzał pan tu siedzieć?

– Nic ci do tego – uciął Rolandsen krótko.

Zerknął na koszyk, ale o mało nie pękł od tego swojego zarozumiałstwa, i powiedział:

– Co to za okropnie paskudny koszyk. W tym chyba niczego nie można schować. Co tam masz?

– Gdybym miał to mięso, i słoninę, i masło, które się chowało w tym koszyku, to przez wiele lat nie zabrakłoby mi jedzenia – odparł chłop.

Rolandsen odkaszlnął i splunął w wodę.

– Kiedy przyszły telegramy? – zapytał.

– O, no, jakiś czas temu.

Mniej więcej pośrodku drogi łodzie zrównały się, ojciec i syn mieli zamiar pożywić się zapasami z koszyka. Rolandsen rozglądał się na wszystkie strony. Stary powiedział:

– Mamy tu trochę jedzenia, jeśli pan nie pogardzi.

I cały kosz został podsunęty Rolandsenowi.

On odsunął go ręką i powiedział:

– Jadłem jakieś pół godziny temu. Objadłem się okropnie. Ale ty się chyba nawet nie domyślasz, jak ten podpłomyk jest znakomicie wypieczony. Nie, nie, dziękuję, chcę tylko na niego popatrzeć, powąchać go! – I Rolandsen gadał dalej wiercąc się na wszystkie strony: – Och, my tu, na Północy, w gruncie rzeczy żyjemy bardzo tłusto. Jestem pewien, że nie ma tu ani jednej chaty, w której by nie było wędzonej szynki. I te zapasy słoniny! Ale jest, oczywiście, coś zwierzęcego w takim sposobie odżywiania się. – Rolandsen odwrócił się mimo woli na ławeczce i powiedział do starego: – Pytałeś, jak długo zamierzałem tu siedzieć? Chciałem, rzecz jasna, zostać na wyspie aż do jesieni i oglądać spadające gwiazdy. Jestem, trzeba ci wiedzieć, miłośnikiem wiel-

kich zdarzeń, i bawi mnie obserwowanie, jak ciało niebieskie rozpada się na kawałki.

– No, tego to ja za bardzo nie rozumiem.

– Ciało niebieskie, powiadam. Czyli jak jedna gwiazda zderzy się z całej siły z drugą i zepchnie ją z nieba.

Nie przerywano jednak jedzenia i Rolandsen wybuchnął:

– Jecie jak te świnię! Że też tyle jedzenia może się zmieścić w tych waszych kałdunach!

– Już się najedliśmy – bąknął stary potulnie.

Mężczyźni ujęli wiosła, łodzie rozłączyły się. Rolandsen ułożył się na dnie i miał zamiar się przespać.

Dotarli do domu po południu i Rolandsen natychmiast ruszył do stacji po swoje telegramy. Były w nich radosne informacje w sprawie wynalazku, korzystna oferta na kupno patentu z Hamburga, i druga, jeszcze lepsza, od agenta innej firmy. I Rolandsen, jak to on, pobiegł do lasu, gdzie spędził w samotności dłuższy czas, zanim pomyślał, że należałoby zdobyć coś do jedzenia. Wzruszenie przemieniało go w chłopca, w dziecko ze złożonymi jak do modlitwy rękami.

XIV

Szedł do kantoru Macka, a szedł jako człowiek, który odzyskał godność, co tam, szedł niczym lew! Jego widok na pewno głęboko poruszy rodzinę Macka, Elise zechce mu może pogratulować, i ta szczerą życzliwość znakomicie na niego podziała.

Doznał jednak rozczarowania. Spotkał Elise na dziedzińcu fabryki, pogrążoną w rozmowie z bratem, tak zupełnie nie zwróciła uwagi na Rolandsena, że ledwo mu się odkłoniła. I oboje z Fredrikiem kontynuowali rozmowę. Rolandsen nie przeszkadzał, nie zapytał o starego Macka, poszedł po prostu do kantoru i zapukał. Drzwi były zamknięte. Wrócił więc na dół i powiedział:

– Ojciec państwa posyłał po mnie. Gdzie mógłbym go spotkać?

Tamtych dwoje nie spieszyło się z odpowiedzią, rozmawiali nadal. W końcu Fredrik rzekł:

– Ojciec jest na górze, przy służbie.

Mogli mi to powiedzieć zaraz, jak tu przyszedłem, pomyślał Rolandsen. Oni jednak potraktowali go z największą obojętnością, żadne nie bąknęło nawet słowa, kiedy szedł do kantoru.

– Czy mógłby pan posłać do niego z wiadomością, że przyszedłem? – zapytał Rolandsen.

Fredrik wycedził:

– Skoro ojciec jest przy służbie, to widocznie ma tam coś do załatwienia.

Rolandsen wybałuszał oczy ze zdumienia i przyglądał się obojgu.

– Będzie pan musiał przyjść później jeszcze raz.

Rolandsen przyjął to do wiadomości. Powiedział:

– Tak, tak.

I poszedł.

Po chwili zaczął jednak zaciskać wargi i zastanawiać się nad całym zajściem. Nagle zawrócił i bez żadnych wstępów oświadczył:

– Skoro tutaj przyszedłem to po to, by spotkać pańskiego ojca, nikogo innego, rozumie pan?

– Proszę przyjść później – powtórzył Fredrik.

– I jeśli przyjdę po raz drugi, to po to, by powiedzieć, że trzeci raz nie przyjdę.

Fredrik wzruszył ramionami.

– Ojciec wraca – wtrąciła Elise.

Stary Mack nadchodził piechotą. Zmarszczył brwi, przywitał się krótko i ruszył przed Rolandsenem do kantoru. Nie okazywał łaskawości. Powiedział:

– Poprzednim razem prosiłem żeby pan usiadł, teraz tego nie zrobię.

– Oczywiście, że nie – przytakiwał Rolandsen, chociaż nie rozumiał jeszcze przyczyn tej niechęci.

Stary Mack nie znajdował jednak żadnej przyjemności w surowym obchodzeniu się z ludźmi. Miał władzę nad tym człowiekiem, który źle się wobec niego zachował, ale nie chciał ze swojej przewagi korzystać. Rzekł zatem:

– Pan naturalnie wie, co się wydarzyło?

Rolandsen odpowiedział:

– Nie było mnie tutaj, mogło się więc wydarzyć coś, o czym pan wie, a ja nie.

– Zaraz pana we wszystko wprowadzę – oznajmił Mack.

Był teraz niczym bóg, trzymał w swoich rękach ludzki los.

– Czyż nie było tak, że pan spalił moją polisę ubezpieczeniową? – zapytał.

– To raczej było tak – zaczął Rolandsen – że gdyby pan zechciał mnie zapytać...

– Oto ona – rzekł Mack, kładąc dokument na stole. – Pieniądze też zostały znalezione. Wszystko razem było zawinięte w chustkę, która nie należała do pana.

Rolandsen nie protestował.

Mack dodał:

– Chustka należała do Enoka.

Rolandsen musiał się uśmiechnąć na jego uroczystry ton i powiedział żartem:

– Jeszcze się pan dowie, że to Enok jest złodziejem.

Ale jego dowcip nie spodobał się Mackowi, nie był to bowiem żaden pokorny żart.

– Zakpił pan sobie ze mnie – powiedział. – I w dodatku wyłudził pan ode mnie czterysta talarów.

Rolandsen, który stał ze swoimi drogocennymi telegramami w kieszeni, wciąż nie chciał całkiem spoważnieć.

– Rozważmy to wszystko – zaproponował.

Mack rzekł ostro:

– Poprzednim razem panu wybaczyłem, teraz tego nie robię.

– Pieniądze mogę panu zwrócić.

Mack zaperzył się:

– Nadal nie chodzi mi o pieniądze. Pan jest oszustem, nie rozumie pan tego?

– Pozwoli pan, że coś wyjaśnię?

– Nie.

– To bardzo nierozsądne – Rolandsen wciąż się uśmiechał. – Czego zatem pan ode mnie oczekuje?

– Każę pana aresztować – oznajmił Mack.

Fredrik wszedł do biura i zajął swoje miejsce przy pulpicie. Słyszał ostatnie słowa i widział, że ojciec jest niezwykle wzburzony.

Rolandsen wsunął rękę do kieszeni, gdzie znajdowały się telegramy i powiedział:

– I nie zechce pan przyjąć zwrotu pieniędzy?

– Nie – odpowiedział stary Mack. – Może je pan zwrócić władzy.

Rolandsen nadal stał. Nie był już lwem. Okazało się bowiem, gdy przyszło co do czego, że się pomylił, i naprawdę może się znaleźć w pułapce. Skoro tak, to w porządku! I gdy Mack spojrział na niego pytająco, jakby się dziwił, że on tu jeszcze stoi, Rolandsen powiedział:

– Czekam zatem, aż mnie aresztują.

Mack był trochę zaskoczony:

– Tutaj? Nie. Powinien pan iść do domu i się przygotować.

– Dziękuję. Zwłaszcza, że mam do wysłania parę telegramów.

Mack złagodniał, słysząc te słowa. Nie jest przecież ludźcą.

– Oczywiście, może pan mieć na przygotowanie i dzień dzisiejszy, i nawet jutro – powiedział.

Rolandsen uklonił się i wyszedł.

Na dziedzińcu wciąż stała Elise, ale wyminął ją bez pozdrowienia. Co się stało, to się nie odstanie, nic nie można na to poradzić.

Zawołała za nim niepewnie i Rolandsen przystanął zakłopotany i zdumiony.

– Ja chciałam tylko powiedzieć... że chyba nie będzie tak źle.

Niczego nie pojmował, nie rozumiał też, dlaczego ona z nim idzie.

– Pozwolono mi pójść do domu, bo mam wysłać parę telegramów – wyjaśnił.

Podeszła bardzo blisko, jej pierś podnosiła się i opadała ciężko, panna rozglądała się wokół, jakby nie czuła się bezpiecznie.

Powiedziała cicho:

– Ojciec był wobec pana niezwykle surowy, ale to minie.

Rolandsen zirytował się. Co to, czy on to już nie ma żadnych praw?

– Pani ojciec może zrobić, co mu się podoba – powiedział.

O, tak właśnie! Ona jednak wciąż oddychała ciężko i zapytała:

– Czemu patrzy pan na mnie w ten sposób? Czyżby mnie pan nie poznawał?

Łaska, nic innego tylko łaska. Powiedział zatem:

– Człowiek kogoś poznaje, to znowu nie poznaje, zależy od tego, jak ludziom wygodniej.

Milczenie. W końcu Elise szepnęła:

– Musi pan jednak przyznać, że to, co pan zrobił... jest najgorsze właśnie dla pana.

– W porządku! Niech będzie najgorsze właśnie dla mnie. Ale nie życzę sobie tych wszystkich zaczepki od byle kogo. Pani ojciec może mnie aresztować.

Nie mówiąc więcej ani słowa, odeszła od niego...

Czekał dzień, czekał dwa, ale nikt po niego nie przyszedł do domu kalikanta. Żył w okropnym napięciu. Napisał już swoje telegramy i chciał je wysłać w chwili, gdy przyjdą, żeby go aresztować. Zamierzał przyjąć najwyższą cenę za wynalazek i sprzedać patent. Tymczasem nie miał wolnej chwili, prowadził z zagranicznymi firmami pertraktacje w różnych sprawach, między innymi w sprawie zakupu wodospadu naprzeciwko fabryki Macka, jak i w sprawie zabezpieczenia prawa do transportu. Wszystko to bowiem zostało złożone w jego ręce.

Mack jednak nie należał do ludzi, którzy by z przyjemnością przesładowali bliźniego. Ostatnio powiodło mu się znowu w interesach, co go tak uradowało, że wprost przesadzał z okazywaniem dobrej woli. Kolejny telegram od agenta z Bergen zawierał informację, że śledzie zostały sprzedane do Rosji. Jeśli Mack życzy sobie otrzymać pieniądze, to są do jego dyspozycji. Tak więc znowu jest na wozie.

Kiedy minął już ponad tydzień, a nic się nie działo, Rolandsen ponownie wybrał się do kantoru Macka. Był już zbyt udręczony napięciem i niepewnością, domagał się rozstrzygnięcia.

– Od tygodnia jestem przygotowany, a pan mnie nie aresztuje – powiedział.

– Młody człowieku, musiałem się trochę zastanowić – odpowiedział Mack z pobłażaniem.

– Stary człowieku, musi pan to natychmiast rozstrzygnąć!
– zawołał Rolandsen porywczo. – Myśli pan, że może pan przez całą wieczność pławić się w blasku własnej łaskawości. Ale ja mam na to radę. Sam się zgłoszę na policję!

– Przynajmniej dzisiaj oczekiwałbym od pana innych słów.

– Ja panu pokażę, jakich słów może pan oczekiwać! – zawołał Rolandsen niepotrzebnie tak głośno i rzucił swoje te-

legramy przed oczy Mackowi. Teraz, kiedy tak schudł, jego nos wyglądał jeszcze bardziej okazale niż przedtem.

Mack przesuwiał wzrokiem po telegramach.

– Stał się pan wynalazcą! – powiedział. – W miarę jednak jak czytał, coraz bardziej mrużył oczy i uważniej wpatrywał się w tekst.

– Rybi klej? – zapytał w końcu. I od nowa zaczął studiować telegramy. – To wygląda bardzo obiecująco – oznajmił, spoglądając na Rolandsena. Czy naprawdę zaproponowano panu taką wielką sumę za wynalezienie rybiego kleju?

– Tak.

– W takim razie gratuluję panu. Powinien się pan jednak okazać eleganckim człowiekiem i zachowywać bardziej uprzejmie wobec starego człowieka.

– Ma pan, oczywiście, rację. Ale długotrwałe napięcie nadszarpięło mi nerwy. Obiecał pan mnie aresztować, a nic z tego nie wyszło.

– Muszę panu powiedzieć, jak jest: ktoś się wmieszał w tę sprawę. Ja chciałem pana aresztować.

– Kto się wmieszał?

– Pan wie, kobiety... Ja mam córkę. To Elise powiedziała nie.

– Niestychane, naprawdę – rzekł Rolandsen.

Mack wrócił do telegramów.

– To wspaniałe! Czy zechciałby mnie pan wprowadzić trochę w szczegóły?

I Rolandsen wprowadził go trochę w szczegóły.

– W takim razie będziemy w pewnym sensie konkurentami – stwierdził stary Mack.

– Nie tylko w pewnym sensie. Od chwili, kiedy wyślę moje telegramy, będziemy nimi naprawdę.

– Ach, tak? – zdziwił się. – Co pan chce przez to powiedzieć? Zamierza pan podjąć produkcję?

– Tak. Naprzeciwko pańskiego wodospadu znajduje się przecież drugi. Znacznie większy, nie potrzeba tam żadnej służby.

– To jest wodospad Leviona.

– Kupiłem go.

Mack zmarszczył czoło i zastanawiał się.

– No to będzie konkurencja – stwierdził.

Rolandsen uśmiechnął się:

– W takim razie pan przegra.

Te słowa coraz bardziej irytowały starego pana, nie był przyzwyczajony, żeby tak do niego przemawiano, nie tolerował tego.

– Zapomina pan, że wciąż jeszcze znajduje się w moich rękach – rzekł gniewnie.

– No to niech mnie pan zadenuncjuje. Później przyjdzie kolej na mnie.

– Ach, cóż takiego pan robi?

Rolandsen odpowiedział:

– Zrzuć pana.

Do kantoru wszedł Fredrik. Natychmiast się zorientował, że miała tu miejsce sprzeczka, irytowało go, że ojciec nie rozprawi się raz na zawsze z tym usuniętym telegrafistą o wielkim nosie.

Rolandsen oznajmił głośno:

– Chcę złożyć panu propozycję: wykorzystajmy wspólnie mój wynalazek. Przebudujemy pańską fabrykę i ja będę nią zarządzał. Moja propozycja jest ważna dwadzieścia cztery godziny!

Potem Rolandsen zostawił swoje telegramy i wyszedł.

XV

Zaczęła się jesień, w lesie wiało, morze zrobiło się żółte i zimne, nocami na niebie budziło się mnóstwo gwiazd. Ale Ove Rolandsen nie miał już czasu przyglądać się spadającym gwiazdom, chociaż pozostał człowiekiem, który lubi wielkie wydarzenia. W ostatnim czasie przy fabryce Macka pracowało wielu budowniczych, jedne mury burzono, inne wznoszono wedle wskazówek Rolandsena, który tym wszystkim kierował. Pokonał wszelkie trudności i doszedł do wielkich zaszczytów

– W gruncie rzeczy zawsze ceniłem tego człowieka – powiedział stary Mack.

– A ja nie – odparła zarozumiała Elise. – Robi z siebie nie wiadomo kogo. Sprawia wrażenie, jakby nas uratował.

– No, tak źle to znowu nie jest.

– Wita się, ale nawet nie czeka na odpowiedź, i idzie dalej.

– Jest bardzo zapracowany.

– Wkradł się do naszej rodziny, inaczej nie mogę tego nazwać – powiedziała Elise pobladłymi wargami. – Gdzie tylko się znajdziemy, on też tam jest. Jeśli jednak wyobraża sobie cokolwiek w związku ze mną, to popełnia błąd.

Elise wyjechała do miasta.

Ale wszystko i tak szło swoim trybem. Widocznie bez niej też można dawać sobie radę. Tyle tylko, że Rolandsen w chwili zawiązania spółki z Mackiem obiecał sobie, że będzie wyłącznie pracował, najlepiej jak potrafi, i nie pozwoli sobie na marzenia o niczym innym. Marzy się latem, a później pewnego dnia się przestaje. Niektórzy jednak marzą przez całe swoje życie i nie można ich zmienić. Weźmy

na przykład pannę van Loos z Bergen. Rolandsen otrzymał od niej list z wiadomością, że nie ceni go wcale mniej niż siebie, ponieważ nie splamił się złodziejstwem, a tylko grał komedię, i że cofa swoje z nim zerwanie, jeśli oczywiście ich czas jeszcze nie minął.

W październiku Elise Mack wróciła do domu. Gadano, że zaręczyła się na dobre i że przyjmuje teraz wizytę swego ukochanego, Henrika Burnusa Henriksena, kapitana statku żeglugi przybrzeżnej. Miał się odbyć bal w wielkiej sali w Rosengaard, wynajęto nawet niemiecki zespół muzyczny, wracający z występów w miasteczkach Finmarken, by dać w rogi i flety. Cała okolica została zaproszona na ten bal, Rolandsen podobnie jak wszyscy, Olga od dzwonnika też ma tam być i zostanie przyjęta jako przyszła żona Fredrika. Pastorstwo natomiast przyjść nie mogą. Został właśnie mianowany nowy proboszcz tutejszej parafii, spodziewano się go lada dzień, a poczciwy kapelan okrętowy miał wyjechać w inne miejsce, na północ, gdzie jakaś trzoda pozostaje bez pasterza. On sam zresztą nie miał nic przeciwko temu, by orać i obsiewać nową ziemię, tutaj nie zawsze jego pracy towarzyszyło powodzenie. Ale jednym może się pochwalić: nakłonił siostrę Leviona, by przypomniawszy sobie nareszcie tego jedyne go mężczyznę, który miał obowiązek się z nią ożenić. Był to wiejski stolarz, właściciel domu i sporej kupki szylingów pod poduszką. Kiedy pastor błogosławił ich przed ołtarzem, doznał leciutkiego uczucia zadowolenia. Wytrwałym staraniem poprawiło się przecież niektóre obyczaje.

I jakoś to się toczy dzień za dniem, Bogu dzięki, myślał pastor. W jego domowym gospodarstwie znowu zapanował jaki taki ład. Nowa gospodyni przyjechała, to starsza, poważna osoba, zabierze ją ze sobą na nowe miejsce. Wszystko się jakoś ułoży. Pastor to człowiek waleczny, ale nikt mu z tego powodu nie czynił zarzutu, a kiedy na dole w przystanku wchodził na pokład statku, żegnało go wielu ludzi. Jeśli chodzi o Rolandsena, to on by za nic nie przegapił takiej okazji do okazania uprzejmości. Łódź Macka czekała na niego z trzema ludźmi, żeby go zabrać do Rosengaard, on jednak chciał najpierw pożegnać pastorstwo. Pastor musiał,

mimo wszystko, podziękować mu za uprzejmość. A Levion, tak jak w swoim czasie mógł przenieść panią pastorową na ląd, tak i teraz otrzymał pozwolenie wniesienia jej na pokład. Rysowały się i przed nim jaśniejsze dni, bowiem pastor obiecał, że zrobi co będzie mógł, by Levion odzyskał swoje stanowisko pomocnika.

Tak, wszystko się jakoś ułoży.

– Gdyby państwo nie udawali się teraz na północ, a ja na południe, to moglibyśmy podróżować razem – rzekł Rolandsen.

– Owszem – przyznał pastor. – Pamiętajmy jednak, drogi Rolandsenie, że choć jeździmy na północ, albo jeździmy na południe, to i tak któregoś dnia spotkamy się wszyscy w jednym miejscu!

W ten sposób zaświadczył, że jest nieustrudzony do ostatka.

Pani pastorowa siedziała na dziobie statku w tych swoich żałosnych butach. Zostały co prawda połatanne, ale zrobiły się od tego jeszcze brzydsze. Pani jednak nie wydawała się zasmucona z tego powodu, przeciwnie, oczy miała roziskrzzone, cieszyła się, że jedzie w jakieś nowe miejsce i zobaczy, co tam jest. Ze smutkiem myślała chyba tylko o pewnym dużym szarym kamieniu, którego pastor nie pozwolił jej włożyć do podróżnego kufra, choć kamień był taki ładny.

W końcu ruszyli. Machano kapeluszami, czapkami rybackimi oraz chustkami do nosa i wykrzykiwano słowa pożegnania i ze statku, i z lądu.

Rolandsen wrócił do swojej łodzi. Już dziś wieczorem powinien być w Rosengaard, będzie się tam świętować podwójne zaręczyny, a on nie chciał stracić takiej okazji, by pokazać, jaki jest uprzejmy. Ponieważ prywatny stateczek Macka nie miał flagi, to Rolandsen wypożyczył czerwono-białą banderę z dziesięciowiosłowca i polecił swojej załodze, by wciągnięto ją na maszt.

Pod wieczór dotarł na miejsce. Z daleka było widać, że w dużym domu kupieckim odbywa się uroczystość, okna na obu piętrach były jasno oświetlone, a na łodziach i kutrach w porcie powiewały flagi, choć zrobiło się już ciemno. Rolandsen powiedział do swojej załogi:

– Zejdźcie teraz na ląd i przyślijcie na wasze miejsce trzech innych ludzi; o północy wracam do fabryki.

W progu domu powitał go Fredrik we wspaniałym humorze. Rysowała się teraz przed nim wyraźnie kariera kapitana statku żeglugi przybrzeżnej, może się więc ożenić i stanąć na własnych nogach. Również stary Mack wydawał się zadowolony, nosił dziś order, którym udekorował go król, gdy wracał z podróży do Finmarken. Ani Elise, ani kapitana Henriksena nigdzie nie było widać. Ale oni pewnie gruchają w jakimś pokoiku.

Rolandsen wychylił od razu kilka kieliszków, chciał się uspokoić i wzmocnić. Usiadł potem ze starym Mackiem i rozmawiali o interesach; Rolandsen wynalazł właśnie nowy barwnik, wydaje się – nic wielkiego, ale z czasem to ten barwnik powinien się stać ich głównym produktem. Rolandsen potrzebował więc maszyn i aparatury do destylacji. Nareszcie nadeszła Elise, spojrzała Rolandsenowi prosto w oczy, powiedziała głośno dobry wieczór i skinęła głową. On wstał, ukłonił się, ale panna już sobie poszła.

– Bardzo zajęta dziś wieczór – usprawiedliwiał córkę stary Mack.

– Chodzi o to, żeby zakończyć wszystko, zanim rozpoczyna się połowy na Lofotach – mówił Rolandsen, znowu siadając. Ho, ho, co mu tam odrobina jakiegoś niepokoju. – Sądzę poza tym, że wynajmiemy jakiś niewielki parowiec, którym może dowodzić Fredrik.

– Być może Fredrik otrzyma teraz inne stanowisko. Porozmawiamy jeszcze o tym bardziej szczegółowo; jutro będziemy mieć dość czasu.

– Ja o północy wracam do fabryki.

– Nie, no co też pan! – zawołał Mack.

Rolandsen podniósł się i powtórzył krótko:

– O północy!

Taki potrafił być stanowczy i nieugięty.

– Szczerze mówiąc, myślałem, że zostanie pan u nas na noc. Przy takiej okazji jak ta. Mogę przecież powiedzieć, że nie jest to byle jaka okazja.

Chodzili po salonach, mieszały się z tłumem, rozmawiali to z tym, to z tamtym. Kiedy Rolandsen spotkał kapitana

Henriksena, przepili do siebie jak dobrzy znajomi, chociaż nigdy przedtem się nie widzieli. Kapitan był dobrodusznym, tęgawym mężczyzną.

Nareszcie zaczęła grać muzyka. W trzech pokojach siadano do stołu, a Rolandsen okazał wiele zręczności, by znaleźć sobie miejsce z dala od najznamienitszych. Stary Mack odkrył go obchodząc gości i rzekł:

– Tutaj pan siedzi? No, tak, tak, powinienem być raczej...

Rolandsen odparł:

– Dzięki stokrotne, tutaj też będziemy dobrze słyszeć pańskie przemówienie.

Mack potrząsnął głową:

– Nie, ja nie zamierzam przemawiać!

I oddalił się zamyślony. Niektórzy uznali, że coś jest między współnikami nie w porządku.

Biesiada trwała, wino lało się strumieniami, pokoje wypełniał szum głosów. Przy kawie Rolandsen przesiadł się, by napisać telegram. Była to wiadomość dla panny van Loos w Bergen, że ich czas w żadnym razie nie minął. „Przyjeżdżaj na północ przy najbliższej okazji. Twój Ove”.

Tak też będzie dobrze, wszystko jest dobre, porywające! Zaniósł telegram na stację i patrzył, jak telegrafista go nadał. Potem wrócił. Przy stołach panowało teraz większe ożywienie, goście zamieniali się miejscami, podeszła do niego Elise i podała mu rękę, przeprosiła, że przedtem tak obok niego przeszła.

– Gdyby pani wiedziała, jaka pani znowu jest piękna dziś wieczór – rzekł z przesadną uprzejmością.

– Tak pan uważa?

– Tak, i zresztą zawsze tak uważałem. Jestem przecież pani starym wielbicielem i pani o tym wie. Nie pamięta pani, że w zeszłym roku wręcz się pani oświadczyłem?

Najwyraźniej nie lubiła u niego tego tonu, bo odeszła. Po chwili jednak znowu się na nią natknął. Fredrik poprowadził właśnie swoją narzeczoną na parkiet i rozpoczęły się tańce, nikt więc nie zwrócił uwagi, że tych dwoje rozmawia ze sobą na uboczu.

Elise powiedziała:

– O mało nie zapomniałam, że mam pana pozdrowić od pańskiej dobrej znajomej, panny van Loos.

– Tak?

– Słyszała, że wychodzę za mąż i chce zostać gospodynią w moim domu. Podobno jest bardzo zdolna. Zresztą pan zna ją o wiele lepiej niż ja.

– Tak, oczywiście, że jest bardzo zdolna. Ale gospodynią u pani być nie może.

– Nie?

– Ponieważ właśnie dzisiaj wieczoru telegrafowałam do niej, proponując jej inne stanowisko. Ona jest moją narzeczoną.

Dumna Elise drgnęła i wytrzeszczyła na niego oczy.

– A ja myślałam, że między wami wszystko skończone – wybąkała.

– No wie pani, stara miłość... kiedyś chyba było skończone, ale...

– Ach tak – bąknęła znowu.

– Muszę powiedzieć, że nigdy chyba jeszcze nie wyglądała pani tak wspaniale jak dziś wieczór! – rzekł znowu z niezwykłą uprzejmością. – No i ta suknia, ten czerwony aksamit!

Także i z tych słów był zadowolony. Kto by się domyślił skrywanego za nimi niepokoju?

– Dawniej nie był pan taki zajęty panną van Loos – powiedziała.

Zauważył, że w jej oczach pojawiły się kropelki łez i zdumiał się, również jej zdławiony głos go zaniepokoił, twarz Rolandsena bardzo się zmieniła.

– No, i gdzie się podział pański spokój? – zawołała Elise, uśmiechając się mimo wszystko.

– Pani mi go zabrała – bąknął.

Wtedy ona nagle pogłaskała jego rękę, zrobiła to tylko jeden jedyny raz i odeszła. Po paru krokach zaczęła biec, biegła przez pokoje, nikogo nie widziała, niczego nie słyszała, biegła po prostu przed siebie. W korytarzu stał brat, który ją zawołał, odwróciła ku niemu roześmianą twarz, ale z jej oczu płynęły łzy; bez słowa pobiegła na górę do swego pokoju.

W kwadrans później przyszedł do niej ojciec. Rzuciła mu się na szyję ze słowami:

– Nie, ja nie mogę.

– No tak, nie, nie. Ale musisz zejść na dół, musisz tańczyć, pytano o ciebie. I coś ty powiedziała Rolandsenowi? Jest jak odmieniony. Czy znowu byłeś dla niego nieuprzejma?

– Nie, skąd, nie byłam dla niego nieuprzejma.

– Bo jeśli tak, to musisz to natychmiast załagodzić. On wyjeżdża o dwunastej.

– O dwunastej?

Elise ogarnęła się w okamgnieniu i powiedziała:

– Zaraz schodzę.

Zeszła na dół i odszukała kapitana Henriksena.

– Ja nie mogę – wyznała.

Kapitan nie odpowiedział.

– To pewnie dla mnie źle, ale z mojej strony to niemożliwe.

– Tak, tak – rzekł tylko.

Nie znajdowała żadnych dodatkowych wyjaśnień, a ponieważ kapitan był taki małomówny, więc na tym skończyli. Elise poszła na stację i zatelegrafowała do panny van Loos w Bergen, że nie powinna przyjmować propozycji Rolandse-
na, bo on znowu nie myśli tego na serio. „Proszę oczekiwać listu. Elise Mack”.

Potem wróciła do domu i tańczyła.

– Czy to prawda, że pan o dwunastej wyjeżdża? – zapytała Rolandsena.

– Tak.

– Jadę z panem do fabryki. Mam tam coś do załatwienia. I po raz drugi pogłaskała go po rękę.